Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 27 października 1935 r. Nr. 43



PARK JESIENIĄ

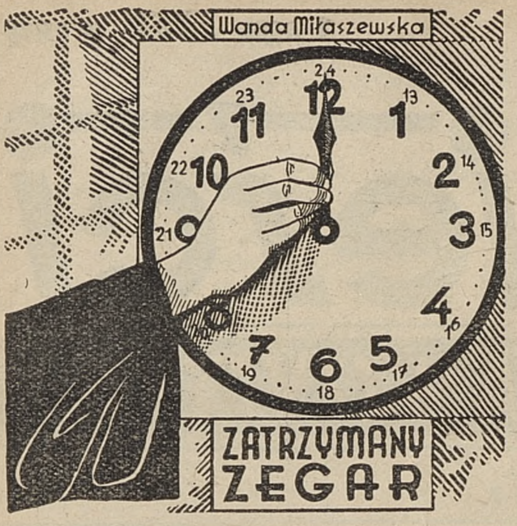
Pusto i cicho jest w miejskim parku,
Kiedy ostatnie jesienne liście
Opadną deszczem złotym na ścieżki,
A szron pobieli świerki srebrzyście.

Czasami tylko w alei głuchej,
Z własnemi idąc zwolna myślami,
Ktoś przejdzie liście trącając suche
I żwir pożółkły znacząc śladami.

Pozatem cisza... gorące usta
Nie szepcą słów, jak było dawniej,
Nikt nie rozbudzi już parku śmiechem,
Nikt ciepłem wzrokiem go nie ogarnie.

Tylko na stawie łabędzie białe
Płyną w zadumie błękitnym brzegiem,
Jakby za pięknem, tak krótkotrwałem,
Goniąc daremnie z zimnych fal biegiem.

MARJA ZEMMLERÓWNA.



POWIEŚĆ 4)

— Głupiaś, moja panno. Jeżeli tylko tyle miałaś mi do powiedzenia, mogłaś się nie fatygować. Wybijesz sobie z głowy ten kaprys — i koniec.

— Ojcze, to nie przelotna fantazja. Kocham go i nigdy kochać nie przestanę, — powiedziała z mocą. Tak mówią zawsze wszystkie zakochane panny, ale tym razem była to wielka prawda, o czem się zczasem mógł przekonać cały światek krewnych i przyjaciół, żywo przejętych „romansem Helenki".

— To jeszcze zobaczymy, — odparł mój dziadek. — Tymczasem idź do siebie i kładź się zaraz spać. Często sen nietylko pokrzepia, lecz przynosi odmianę w myślach, czego ci życzę.

Nie odmieniło się jednak nic w tem sercu, które zadrgało uczuciem miłości do jedynego człowieka i — na całe życie. Po roku powtórzył się djalog:

— Ojcze, kocham go. Nie przestałam go kochać. Nie mogę!

— To źle — odparł krótko.

— Nigdy nie pokocham kogo innego. Za nikogo innego nie wyjdę zamąż.

— W takim razie nie wyjdziesz wcale.

I na znak skończonej rozmowy zatopił się w odczytywaniu papierów, zalegających biurko.

Czekała jeszcze kilka tygodni, do dnia pełnoletności. Nie wiem już, jakiemi drogami porozumiała się z ukochanym, dość, że przyjechał. Wówczas raz jeszcze poszła do ojca na ostateczną rozmowę. Powiedziała z determinacją:

— Ojcze, na pozwolenie Twoje czekaliśmy do dziś. Teraz już ono nie jest konieczne. Teraz czekamy na twoją dobroć. Przecież nie zniesiesz myśli, że będę nieszczęśliwa przez całe życie jedynie dzięki tobie.

— Nigdy nie uzyskasz mej zgody na małżeństwo z tym chłystkiem. Nigdy, zrozumiałaś? A jeśli postąpisz wbrew mojej woli...

Zatrzymał się dla nabrania oddechu i dokończył:

— Będę wiedział, że nie mam córki. Został mi tylko syn jedynak.

Tak musiała brzmieć ta rozmowa. Odtwarzam ją sobie w wyobraźni z oderwanych słów, które mi powtarzano.

— Jak żyję, — opowiadała Balbina — nie widziałam takiego gniewu. Po wyjściu panienki... twojej mamusi, — poprawiła, gładząc mię po włosach — zamknął się na trzy spusty w pokoju i wszyscy słyszeli, jak tłukł sprzętami o ściany. A później już ani słowa o niej nie wspomniał. Zaraz na drugi dzień wezwał panicza, twojego wuja, z Warszawy i cały majątek dał mu, jak się to mówi, ciepłą ręką. Bezprawie to było, bo nawet nie mógł tak zrobić, a zrobił. Prędko to wszystko pan Włodzimierz przeputał, ani słowa! Ech, było też tak dziecko rodzone spostponować! Dopiero na łożu śmiertelnem opamiętał się, córki wzywał, wszystko, co kiedyś w gniewie rzekł, odwołał. Ale już było zapóźno. Nawet na pogrzeb nie zdążyła, bo nim znaleźli, odszukali... Boże Wielki! Nikt z rodziny nie wiedział nawet, gdzie się podziewa! Doniosła tylko w liście do pani Klimontowskiej, że zamąż wyszła, a potem już nic. A pan Włodzimierz, to także gagatek! Kto innyby do serca wziął ostatnie słowa ojcowskie, uszanował... Ale jemu całkiem od tych pieniędzy zamroczyło się w głowie. Karty i karty, hulanki z dziewczętami, aż się doigrał... Ot i po wszystkiem... Przepadł majątek, przepadł i on sam... Boże wielki!

Tak opowiadała Balbina, trzęsąc głową z oburzenia. I opowiadała jeszcze, że sama pani Eufemja Klimontowska, chociaż rozgniewana okrutnie na „pannę Helenkę", przekładała wszelako jej ojcu:

— Co ty wyrabiasz, Eustachy? Tego już za wiele! Dziewczyna g'upia, uparła się... Też sobie wynalazła los... No no, podziwiam! Sama kiedyś gorzko żałować będzie. Ale znowu zaraz tak srogo! Zawsze to twoja córka, jedynaczka, bo z tego urwipołcia synalka pociechy nie doczekasz się, zobaczysz! Jeszcze i ty pożałujesz, zobaczysz!

Na tem się skończył pierwszy akt dramatu mojej matki, zwanego w rodzinie „romansem Helenki". A drugi? Są w nim momenty jaśniejsze, jakby przebłyski słońca w chmurny jesienny dzień. Wtedy nie rozumiałam, dziś zdaję sobie sprawę, jaka to musiała być nędza!

Ja — miałam zawsze swój kubek mleka i bułeczkę, którą drobiła matka rękoma, niezwykle kiedyś pięknemi. Później te ręce zczerniały od kurzu, co wżarł się w skórę przy zamiataniu, przy myciu rondli, przy nakładaniu węgli do pieca. Boże mój! Ile słonych łez musiało padać nieraz na płótno, z którego matka szyła moje pieluszki... Lecz to nie były piekące łzy. Dni głodu, dni nędzy prawie, że czarnej, opromieniało spojrzenie dwóch par oczu wpatrzonych w siebie z miłością bezgraniczną. Kochała się ta para nędzarzy, gryząc czarny chleb i gorzkie zawody, a czasem, w krótkich przebłyskach lepszego losu, śmiałe, cudowne snując marzenia!

Ten drugi rozdział, ten sen o szczęściu — przymknęło czarne wieko trumny. A trzeci?... Tak, trzeci, to była już tylko szara rzeczywistość. Sączyła się kropla po kropli, mętna, bez cienia uśmiechu, bez słonecznego jutra. Ostatnie łzy, które się nad nią polały, to były moje łzy, — dziecka miłości i straconego szczęścia.

X.

Monotonnie płynęło życie w Klimontowcach po wyjeździe Emilki i Janusza. Zwykle wieczorem gromadzili się wszyscy domownicy w dużej bawialni oświetlonej jedyną lampą na okrągłym stole. Ciotka Eufemja, zagłębiona w swoją kanapę, migająca drutami, na których kończyła wiecznie jakiś włóczkowy szal, ozdobiony frendzlą; dalej mama, schylona nad robotą, milcząca i cicha, jak zawsze, o ile piersi jej nie rozsadzał suchy, gwałtowny kaszel. Pamiętam po dziś dzień, jak bardzo męczył biedną moją matkę.

Dalej — „ciocia Józia" pomagała Balbinie układać pasjanse, a jeszcze dalej pan Dziechciński , rządca, czytał na głos spóźnione gazety, wtrącając od czasu do czasu jakąś osobistą uwagę, arcypolitycznej natury.

W głębi pokoju, dokąd zaledwie dochodził odblask lampy ze stołu, para dzieciaków przekomarzała się ze sobą szeptem, który przechodził chwilami w głośniejszą dysputę. Wówczas ciotka Eufemja, nie ruszając się z miejsca, podnosiła bezrzesne powieki z nad okularów i krótkim błyskiem surowych, czarnych oczu przyprowadzała nas do porządku.

O ile Adaś nie drażnił kotki Waćpani, albo nie usiłował pociągnąć ukradkiem śpiącego mopsa za ogon, układaliśmy wspólnie, siedząc w kucki na ziemi, nader skomplikowane budowle z drewnianych klocków, na których przemyślna pani Rymszyna wymalowała cały alfabet. Wszystkie samogłoski znaczone były czerwoną farbą, a wszystkie spółgłoski — czarną. Adaś, który już wówczas posiadał sztukę łączenia liter w wyrazy, starał się zawsze tak zbudować swój pałac, aby na ścianach formowały się słowa, nierzadko całe zdania. Rozmawialiśmy możliwie cicho, rzucając badawcze spojrzenia w stronę kanapy dla przekonania się, czy duże, stalowe druty migają w tempie normalnem.

— Daj mi teraz dwa o, — mówił Adaś półszeptem, a gdy napróżno usiłowałam ze stosu klocków wybrać właściwe litery, dodawał pogardliwie:

— Ach ty głuptasie! Nie możesz nawet tego spamiętać, że o jest kółko.

Wtedy raptownie rozjaśniało mi się w głowie i z miną triumfalną podawałam mu klocki.

— To nie jest o! — wyśmiewał się Adaś.

— No przecież kółko...

— Jak kółko z kreską, to jest o pochylone, rozumiesz teraz? — objaśniał tonem wyższości.

Nie rozumiałam nic, ale kiwałam głową z przekonaniem, olśniona wiedzą Adasia.

Od stołu dobiegał nosowy bas pana Dziechcińskiego, sylabizującego jakiś artykuł w gazecie. Od czasu do czasu przerywało tę monotonną czynność odezwanie się którejś z osób postronnych:

— Kładnij, duszo, dwójkę na asa! Taż leży od godziny jak wół, na stole... — jęknęła „ciocia Józia", wyciągając palec ku zatłuszczonym kartom.

— Aj, prawdaż, pani... leży! — stropiła się Balbina.

Znudzony mops uniósł głowę z poduszki i przeciągnął się leniwie, ziewając.

— Leżeć, Acan! — burknęła ciotka Eufemja. Złożyła druty i zdjąwszy z nosa okulary, przetarła je końcem szalika:

— No, czytajże pan dalej o tym pomniku. Bylibyście tam ciszej z waszym głupim pasjansem!

— Taż nie głupi, Femciu! Taż to napoleoński... — protestowała pokornie pa ni Rymszyna.

— Mama to zawsze... — podchwycił Adaś szeptem, schylając się ku mnie.

— A dziadzio Juljusz powiada, że Napoleon był kiep, bo się dał pobić pod... pod... jednem miejscem, które się bardzo trudno nazywa. Ale ty i tak nic nie zrozumiesz. Ty nawet nie wiesz, co to znaczy Napoleon.

— A właśnie, że wiem — zaświtało mi w głowie wspomnienie. — U mamusi w kuferku jest Napoleon, zawinięty w czysty papier. To nawet tatuś go namalował! — dorzuciłam z poczuciem uzasadnionej dumy.

— Ciocia Femcia mówiła, że twój tatuś był dureń, bo malował takie obrazy, których nikt nie chciał kupować. No, nie rób że takiej beksiwej miny! Ja wiem, że twój tatuś wcale nie był dureń... Ale zawsze ciocia Femcia powiedziała... A mój tatuś buduje kolej w Rosji wiesz? A jak ją zbuduje, to przyjedzie tutaj, przewiezie dużo pieniędzy, kupi mi kuca i rewolwer z prawdziwemi kulami, aha! I nie będziemy już mieszkali w Klimontowcach!

Duże, dziecinne łzy kręciły mi się w oczach na te słowa. Wszystko, co mówił Adaś, było takie wspaniałe, prawie czarodziejskie, jak historje Balbiny. Nie znałam wówczas słowa „zazdrość" ale marzyłam, aby się chociaż raz, chociaż na chwilę znaleźć na miejscu Adasia.

Pamiętam, że owego właśnie wieczoru, klęcząc przy pacierzu, modliłam się półgłosem:

— O Boże, zrób, żebym ja była Adasiem! Zrób tak, żebym to ja była Adasiem...

— Co ty tam mruczysz, Krysiuniu? — spytała mama z głębi pokoju. Odpowiedziałam szczerze:

— Bo ja proszę Bozi, żeby mię zmienił w Adasia... A ciebie w ciocię Józię, żebyś nie przestała być moją mamusią — dorzuciłam pośpiesznie. — I żeby nasz tatuś budował kolej i żeby przywiózł dużo pieniędzy..

— Dlaczego modlisz się o to, Krysiu? — rzekła mama.

— A bo wtedy... Bo wtedybyś mi kupiła dużo ładnych rzeczy i byśmy nie mieszkały w Klimontowcach...

Biedna mama pewnie płakała tego wieczoru. Pewnie myślała z bólem, że jej córeczka naprawdę czuje się pokrzywdzona, skoro takie układa modlitwy. A przecież wtedy było mi bardzo, bardzo dobrze na świecie. Gdy teraz myślę o tych latach minionych, wspominam je z głębokim żalem, jak jasne, złote pasemko szczęścia. Ciotka Eufemja umiała gderać, jak nikt inny, ale umiała także i pochwalić czasem. Balbina — to była jedna niewyczerpana skarbnica opowieści tak dziwacznych i cudnych, że otwierałam usta z podziwu, słuchając. Kochała mię serdecznie i pieściła, a nawet psuła potrosze. W biednej mojej mateczce odnajdywałam zawsze krynicę słodyczy, kojącą każdy smutek przelotny z dziecięcej duszyczki...



Po upadku miasta Aksum, prastarej stolicy Abisynji, której poddanie się Włochom uważa cały kraj za największą klęskę moralną, zwrócił się cesarz Haile Salessie do głowy kościoła koptyjskiego Abuny z prośbą, aby wezwał wszystkich duchownych do ogłoszenia „świętej wojny" przeciw armji włoskiej. Ilustracja przedstawia najwyższego kapłana koptyjskiego Abunę, odczytującego historyczne dla Abisynji wezwanie do duchownych.

A ten kochany, choć czasem psotny i dokuczliwy Adaś! A ogród klimontowski, pełen niezgłębionych tajemnic! Ten ogród, ten kraj zaklęty należał tylko do nas dwojga: — do Adasia i do mnie...

Kiedyś, po latach, chodziło tam znowu „nas dwoje", chociaż Adasia dawno zbrakło w Klimontowcach... Dzieciństwo pierzchło bezpowrotnie, lecz w cieniu starych drzew po dziś dzień snują się czarowne nici srebrnych pajęczyn: wspomnienia najsłodszych, najdroższych, najmilszych snów...

A jednak wtedy, biegnąc boso wśród gąszczów leszczyny, byłam szczęśliwsza, niż kiedykolwiek. Pomimo smutnych oczu matki, pomimo lęku przed ciotką Eufemją za jakieś „przeskrobanie" dziecięce, pomimo straszliwego widma codziennych „robótek"...

Ach, te robótki! Ciotka miała wogóle niewzruszone zasady, a do nich zaliczała w pierwszym rzędzie umiejętność władania igłą i naparstkiem. Miałam zaledwie pięć lat, a już znaczyłam krzyżykami małe skrawki płótna, specjalnie na ten użytek przechowywane w szufladach staroświeckiej komody. Gdy już umiałam znaczyć, obrębiać i szyć równiutko „za igłą", przyszła kolej na hafty, mereżki i „frywolitki", nad któremi wypłakiwałam oczy. Tak trudno było trzymać cienkie niteczki, owinięte na dłoni i liczyć małe pętelki, z których powstawał skomplikowany deseń... Tak łatwo się było omylić o jedno, jedyne oczko... Nadomiar złego, owa „godzina robót" przeciągała się często do obiadu.

Pamiętam, jak matka mówiła kiedyś do Emilki:

— Żebyś ty chociaż, Emilciu, wstawiła się do ciotki... Ciebie prędzej wysłucha... Czy to podobna trzymać dziecko tyle godzin bez ruchu! Biedactwo jeszcze wzrok straci! Już teraz, widzisz, jakie ma zaczerwienione powieki... A rano, to tak oczkami mruga...

Ale ciotka była nieubłagana.

— Niech się uczy! — strofowała Emilkę, mamę, ciocię Józię, każdego, kto się ośmielił wziąć mię w obronę. — Niech się uczy zamłodu. Roboty ręczne jeszcze żadnej kobiecie nie zaszkodziły. Lepsza igła w niewieściem ręku, niż te tam wasze różne mądre książki, od których w głowie się wam poprzewracało. Jak wasze matki i babki po piętnaście lat robiły ornat do kościoła, to na romanse i bzdurstwa czasu nie stało! Z tej waszej nauki taki zysk, że co druga w rok po ślubie ręce łamie i na swój los narzeka... Za wasze życie odpowiadać nie mogę i nie myślę, ale Krysię wychowam po swojemu. Zrozumiano? Wdzięczna mi kiedyś będzie za to!

Siedziałam więc skulona na niskim stołeczku u stóp otyłej damy i liczyłam się różnych ściegów, których liczba zdawała się nieskończona. Gdy w robocie okazała się najmniejsza niedokładność, ciotka Eufemja pruła wszystko i oddając przybrukany kłak nici mówiła tylko dwa słowa:

— Od początku.

I musiałam zaczynać od początku. Po dziesięciu minutach czułam szum w głowie, ból w krzyżu i szpilki pod powiekami. Tłumiąc gorące łzy, liczyłam oczka jak najstaranniej, by się przypadkiem znów nie omylić.

Liczyłam, liczyłam, liczyłam...

A za otwartem oknem nieznośny Adaś ogradzał patyczkami nasz pałac z piasku, albo uganiał się konno dokoła klombu na lasce olszowej, albo, jeśli to było jesienią, obrywał z krzaka owoce spirei, rozdeptywał je w moich oczach obcasem, a gdy pękały z trzaskiem, wołał do mnie śmiejącemi oczami:

— Aha! Widzisz! Nie przyjdziesz! Wystrzelam wszystkie kulki, co do jednej a ty nie możesz nawet krzyknąć, bobyś dopiero od cioci Femci usłyszała kazanie! Siedź sobie i dłub tę idjotyczną robótkę!

Dławiłam się łzami i śledziłam nieruchome, okrutne wskazówki zegara, który tak wolno odmierzał czas.

XI.

Ostatnią georginję przyniósł mi dzisiaj do szkoły Teoś, ten z dużą głową, wnuczek babiny, która tak bardzo prosiła, aby się malec jak najprędzej nauczył czytać „na książce".

Nazywa się ta kobieta Wątkowa, a mąż jej, stary, kulawy i łysy jak kolano człowieczek wartuje w opustoszałym dworze podczas nieobecności właścicieli, którzy się gdzieś czasu wojny zawieruszyli na obczyźnie.

Wątkowie nie pochodzą z tych stron, a z jakiejś wioski na Mazowszu, w

majątku służą od niedawna. Mieli jedyną córkę, którą wydali, nieszczególnie zamąż. Owdowiała wkrótce i sama zmarła, zostawiając dziecko — właśnie Teosia.

Jedynem, najgorętszem pragnieniem starej Wątkowej jest to, aby się chłopak dużo i dobrze uczył:

— Bo on już lata ma i tylko taki chuderlawy... — objaśniła na wstępie, przyprowadziwszy chłopca po raz pierwszy do szkoły.

Rzeczywiście — chuderlawy Teoś ma przeszło ośm lat, jak wykazuje metryka. Ma również wielką do książki ochotę i bardzo pilnie się uczy, tylko zdolności Bóg mu poskąpił. Jakże to wytłumaczyć kobiecie, która jest zaślepiona w swym wnuczku i świetny los dla niego obmyśla!

— Niech tylko dożyjem, proszę paniusi, żeby chłopak szkołę powszechną skończył. Do miasta go wtedy wyślemy, na naukę. Później, to on sobie i bez nas rady da, w mieście nie trudno o zarobek. A potem Teoś felczerem zostanie, a może nawet — księdzem...

To, co mię łączy ze starą Wątkową, ta niewidzialna nić sympatji, zawiązana przypadkiem przy Klimontowskiej furtce, każe mi wielkich przykładać starań, by jednak Teoś nie zawiódł babcinych nadziei.

Zaczęłam go więc zabierać do siebie na dodatkowe „kursy“ czytania i pisania. Mozolimy się codziennie z godzinę nad dziwnem zjawiskiem, że „i“ pisze się jak krótka pałeczka z kropką u góry, a „l“ jak długa i — o dziwo — bez kropki.

— Acha... — wykrzykuje mój Teoś radośnie — to teraz już wiem! I zabiera się do pisania z namaszczeniem. Sapie przytem, wysuwa koniuszek języka, pot mu występuje na czoło. Pisze małe „l“ z kropką i wielkie, niezgrabne „i“ — bez kropki. Trzeba tedy tłumaczyć:

— Przecież „l“ — to jest długa pałeczka — mówię łagodnie.

— A prawda... — dziwi się Teoś, a w głosie jego drga nuta zawodu i żalu.

Zaczynam wykład od początku. Nareszcie Teoś napisał bez błędu wyraz „lala“ i tego popołudnia dumnie pomaszerował do domu, wsunąwszy do kieszeni starannie złożoną kartkę z rzeczowym dowodem swoich postępów.

Miałam już nieraz tępych uczni i wiem, że nie należy nigdy tracić nadziei, bo niewiadomo, kiedy zaświta w śpiącym móżdżku iskierka świadomości, zbudzi się pierwsza myśl samodzielna, pra-matka wszystkich następnych. A jednak, z racji Teosia, popadam chwilami w pesymizm, graniczący z rozpaczą, tracę wiarę we własne zdolności pedagogiczne. Czy to możliwe, by żadna metoda nie przystawała do tego krnąbrnego umysłu? Po czterech tygodniach wprost nieprawdopodobnych wysiłków doprowadziłam zaledwie do tego, że malec poznawał niektóre litery, witając je z zadowoleniem, jak starych przyjaciół.

Panna Leonka nie może mi się nadziwić:



W garnizonach południowych wprowadzono tytułem próby nowe umundurowanie letnie armji. Umundurowanie to odznacza się wygodą.

— Poco pani sobie tyle trudu zadaje z tym głąbem? Zostanie w pierwszym oddziale i koniec.

I wzrusza ramionami. Tłumaczę jej, jak mogę, że chłopiec jej pilny, że się chce uczyć, i że muszę mu przecież w tem dopomóc, bo to mój obowiązek.

— Et, — machnęła ręką moja młodziutka koleżanka. — Z niego i tak nic nie będzie, zobaczy pani.

A właśnie tego się lękam najbardziej. Obiecałam przecież jego babce... Nie, Teoś nie może zostać na drugi rok, przecież Wątkowa jest już bardzo stara...

Ilekroć ogarnia mię zwątpienie, ilekroć tracę do reszty cierpliwość, przypominam sobie rozjaśnioną uśmiechem twarz staruszki, kiedy szeptała bezzębnemi ustami.

— A potem Teoś zostanie felczerem, a może nawet... księdzem...

Nie. Nie mogłam jej zrobić zawodu. Ona tak wierzy w mą obietnicę, tak mi ufa...

Staram się więc wykrzesać z chłopca tę odrobinę inteligencji, którą posiada. Nie jest on dzieckiem normalnem. Jego wybitnie duża głowa, jego karzełkowata postawa, okrągłe, wyłupiaste oczy świadczą o tem wyraźnie. Ojciec Teosia, o którym Wątkowie mówią niewiele i z niechęcią, musiał być albo nałogowym pijakiem, albo przechodzić ciężką chorobę, której skutki ponosi teraz Bogu ducha winna istotka, mająca przecież takie same prawo do życia, jak inne dzieci.

Odłożyliśmy nabok elementarz, daliśmy pokój krótkim pałeczkom z kropką i długim — bez kropki. Rozmawiamy ze sobą, jak przyjaciele. Wypytuję chłopca o różne szczegóły z jego życia, układamy wspólnie małe opowiadania o tem, jak zginęła kura czubatka, jak się przypląłał do starego Wątka chudy, żółty pies, ten sam, który teraz pilnuje ich mieszkania i tak głośno szczeka na obcych. Potem mój Teoś rysuje kolorowemi kredkami pomarańczowego potwora na słoniowych nogach, podpisujemy pod tym arcydziełem wielkiemi literami: Pies Bukiet i oboje zadowoleni jesteśmy z siebie.

I tak to idzie powoli, słowo za słowem, zdanie za zdaniem. Dziś już mój Teoś pisze bez błędu mnóstwo wyrazów, lepiej, niż jego koledzy ze szkoły. Umie się nawet podpisać z zakrętem, zupełnie, jak sekretarz gminy. Na wszystkich swoich książkach wykaligrafował starannie: Teodor Rowiński. Gdzieniegdzie dopisał nawet: Z Klimontowiec.

Rozczula mię jego przywiązanie. Niczem pies Bukiet. Patrzy na mnie z wyrazem uwielbienia, prawie modli się do mnie. W szkole nie spuszcza ze mnie wzroku, uważa na każde słowo, a po skończonych lekcjach czeka na mnie przed drzwiami, odprowadza do domu, odnosi mi zeszyty i książki. Niema prawie dnia, by nie zaszedł choć na minutę a zawsze coś chowa w zanadrzu: to jakieś nadzwyczajne jabłko, które babcia umyślnie dla mnie położyła na oknie, aby dojrzało prędzej, to znowu parę jajek od tej samej kury, czubatki, która zginęła i znalazła się cudownym sposobem po tygodniu daremnych poszukiwań... Wreszcie, gdy pewnego dnia przydygował całą głowę czerwonej kapusty, musiałam wydać stanowczy zakaz: żadnych jabłek, jaj, żadnych wiktuałów. Wolno Teosiowi ofiarować mi czasem parę kwiatków, ale nic więcej i to nie codziennie.

Usłuchał, choć miał do mnie trochę żalu o to. Teraz starannie odmierza czas przepisany i nagle pewnego dnia zjawia się w szkole z rękoma, pełnemi astrów, albo liści klonowych, purpurowych i złotych, które pozbierał dla mnie w Klimontowskiej alei...

Dziś przyniósł tę piękną georginję i rzekł smutnie:

— To już ostatnia, proszę pani... Co ja dla pani w niedzielę wyszukam?

— Wyszukasz w swojej głowie, jak się pisze „duży“ bo przecież ty już jesteś D Ó Ż Y chłopiec i powinieneś to wiedzieć, prawda? — odpowiadam, śmiejąc się i poprawiając w jego zeszycie czerwonym ołówkiem ten błąd.

XII.

Coraz to bardziej pochłania mię szkoła. Zaczyna się ta sama, zwykła historja: zżywam się z nowem środowiskiem obserwuję dzieci, ich charakter, ich sposób reagowania na różne przejawy życia. Staram się wniknąć w ten światek, nad którym rządy przypadły mi w udziale.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

MARJA REUTT 4)

Przeznaczenie

Kiedy poznała tego obcego oficera gwardji, nie myślała o tem, że przyjdzie na nią wielka, słoneczna miłość. Nie myślała nawet o tem, że przeżyje to, co się zwykło określać mianem przygody. Dobrze jej było w towarzystwie Sandra. Był jakiś inny, niż ci wszyscy, których spotykała na drodze swego życia. Był człowiekiem prostym, bezpośrednim i szczerym. Znalazła w nim towarzysza i przyjaciela.

Nie spodziewała się, że przyjdzie na nią miłość. Aż dopiero wtedy, gdy wracali z Syrakuz... A może wtedy, kiedy to potknęła się w Taorminie na Forum Romanum...

Wróciła do domu zdenerwowana i przerażona tem nieznanem jej dotąd uczuciem. Ogarnął ją płomień. Czuła w duszy tęsknotę, której nie umiała nazwać. Wszystko, o czem dotychczas marzyła, wszystko, co dotąd kochała, stopiło się w wielki symbol, w potężne ukochanie. Tym symbolem i tą wielką miłością, całą treścią jej życia, stał się on, ten nieznany jej bliżej oficer gwardji. Ten człowiek stał się treścią jej życia. Czuła, że jest jej droższym od rodziny, od tradycji, od kraju, że poszłaby z nim wszędzie, na każdą dolę, na ubóstwo i tułaczkę.

Ale była księżniczką, a za ten zaszczyt musiała płacić męką serdeczną i niewolą. Była narzeczoną wielkiego księcia. Nie umiała obronić się od tego. Była za słabą. Wychowano ją w zamknięciu i odgrodzono od walki o byt, o prawo istnienia i stanowienia o sobie. Czuła w tej chwili, że gdyby była zdana na własne siły, zginęłaby bez ratunku.

Kiedy po chwilach szalonej radości uprzytomniła sobie kim jest, miała wrażenie, że zapada się w jakąś przepaść, że czarna noc zamyka się nad jej życiem.

Miłość nie przynosiła jej szczęścia i radości. Dla niej, dla księżniczki krwi, zaręczonej z panującym księciem, to szalone uczucie było źródłem bólu i nieziszczalnej nigdy tęsknoty.

Zagasły jej promienne oczy, a w duszy zbudziła się potworna męka. Karina ścisnęła dłońmi skronie, opadła na krzesło i poczęła łkać gwałtownie. Siedziała tak bez ruchu, trzymając w dłoniach skołataną głowę i cierpiała.

Nie dla niej chyba miłość, nie dla niej było szczęście, nie dla niej radość życia. Wydano już wyrok, którego cofnąć nie można. Była ptakiem skazanym na wieczną niewolę.

Ciężkie łzy spływały z jej oczu. Płakała nad beznadziejnością swego położenia. Nad własną niemocą.

Po bezsennej, ciężkiej nocy rankiem napisała bilet do Sandra.

— Wyjeżdżam. Uwożę ze sobą najdroższe w życiu wspomnienia. Nie staraj się widzieć ze mną. Nie szukaj mnie. Tak będzie lepiej dla nas. Wierz mi. Kocham cię. Karina.

Wysłała ten bilet posłańcem. Wrócił, oświadczając, że signor Sandro Lunich wyjechał.



W Grecji toczy się walka o wprowadzenie monarchji. Zanim obywatele greccy zadecydują przez plebiscyt, czy król ma wrócić, b. król Jerzy oczekuje decyzji w Londynie. Widzimy go na naszem zdjęciu.

— Kiedy? — rzuciła przerażona wieścią.

— Wczoraj wieczorem.

Zachwiała się. Zbladła. Wiadomość podziałała na nią jak grom. Wyjechał. Wyjechał bez pożegnania.

Kiedy znalazła się sama w pokoju i ochłonęła z pierwszego wrażenia, poczęła rozmyślać nad wszystkiem, co przeżyła tu w cichym zakątku Sycylji.

W wirze tych przygotowań weselnych zatarł się epizod z Taorminy. Jeśli przychodził kiedykolwiek przed jej oczy we wspomnieniach, to tak jak przez mgłę. Ale to wspomnienie bolało ją zawsze. — Zawsze przychodziło spowite w smutek, w żal, zawsze wywoływało łzy.

— Może to i lepiej — pomyślała z westchnieniem — może łatwiej jej przyjdzie wyjechać, może zmniejszy żal. Musiała uciekać, uciekać przed swoją miłością.

Po powrocie do domu wpadła w wir przygotowań weselnych. Otępiała i bezwolna poruszała się jak automat. Nie myślała o niczem. Zresztą nie miała czasu na to, ażeby myśleć, marzyć i roztkliwiać się.

Miała tak wiele roboty. Ciągle ktoś przyjeżdżał, o coś pytał, radził. Roiło się w zamku od krawców, garderobianych. Musiała chodzić do miary, wybierać fasony, kroje, decydować o wszystkiem. — Bardzo często wyjeżdżała do stolicy. Z chwilą, gdy zdecydowała się oddać rękę księciu, spadł na nią deszcz podarunków i pieniędzy. Przypomnieli ją sobie bogaci krewni. Ciotki, wujkowie, których nawet nie znała z imienia, przysyłali jej duże sumy pieniężne, ażeby godnie reprezentowała rodzinę. Liczyli na to, że odbiją sobie z dużym procentem poczynione wkłady w chwili, gdy księżniczka Franciszka zasiądzie kiedyś na wielkoksiążęcym tronie.

Ale te chwile samotnych rozmyślań i wspomnień były krótkie. Rozpraszały je troski szarego dnia. Rozpraszała je rodzina, która na każdym kroku podkreślała wielką ofiarę, jaką robi księżniczka dla niej. I rodziło się w duszy Kariny nowe uczucie. Zdawała sobie sprawę z tego, że jest błogosławieństwem dla swoich najbliższych, że od niej zależy przyszłość jej całej rodziny, że popełniłaby zbrodnię, gdyby skazała rodziców i braci na nędzę i nie podała im ręki pomocnej.

Mijały miesiące. Termin ślubu zbliżał się.

Czasem zimą, gdy wiatr hulał po dworze, gdy mróz malował na szybach zamkowych egzotyczne kwiaty, księżniczka przenosiła się myślą do słonecznej Sycylji, skąpanej w potokach złocistego światła, okrytej kobiercami kwiecistych łąk. Wtedy to ogarniała ją tęsknota za szczęściem, które było bliskie, które miała w swych dłoniach, a zatrzymać go nie mogła.

Widziała lazurowe niebo i szmaragdową toń morza, w której słońce zapalało brylantowe skry. Czuła zapach jaśminu, kwiatu pomarańczowego, róż i słonej wody. Chodziła po piaszczystej plaży, widziała ruiny starych budowli i kolorowe skały nadbrzeża. A na tle tego wszystkiego zjawiała się postać jego, tego nieznajomego jej, a tak bliskiego oficera gwardji. I dziwiła się, że to wszystko, że ten piękny słoneczny świat, to morze i to niebo, te kwiaty, to wszystko dla niej ma jedno imię — Sandro.

Odrywano ją od tych wspomnień. Smutna, z bladą twarzą i kurczowo zaciśniętemi ustami, musiała wracać do rzeczywistości.

Nie mogła marzyć, nie mogła wspominać. Musiała liczyć się z tem, co ją czeka.

Ale teraz, kiedy tak nagle ujrzała go przed sobą w złote rano tu w parku, poszły w kąt wszystkie postanowienia. Zapomniała o rodzinie, o swoim ślubie, o wszystkiem. W duszy miała tylko słońce, radość i szczęście. Trzymał jej dłoń w swojej dłoni i mówił do niej słowa, których nie powinna była słuchać. Patrzyły na nią oczy, których powinna była unikać.

— Musiałam wyjechać, ale ciągle myślałam o tobie...

Przygarnął ją ku sobie.

— Tęskniłem jak szaleniec. Szukałem cię wszędzie. Słuchaj, czy miłość twoja mogłaby się zdobyć na tak wielkie poświęcenie, żebyś została moją radością, ukochaniem, mojem szczęściem i wytchnieniem. Otoczyłbym cię zbytkiem, miłością bezgraniczną, bezpamiętną, zapłaciłbym ci całem życiem za wyrzeczenie się rodziny, przyjaciół i tego mieszczańskiego bytowania, tej zależności... kocham cię Karino. Gdybym się mógł z tobą ożenić, byłbym najszczęśliwszym z ludzi.

Słuchała go wzruszona i drżąca. Milczała.

Nagle zaśmiała się krótkim, nerwowym i nieprzyjemnym śmiechem. Wyrwała się z jego objęć.

Cofnął się zdumiony.

— Czego się śmiejesz? — zapytał urażony. Karina śmiała się dalej. Sama nie wiedziała, skąd ten śmiech i dlaczego. Z trudem opanowała się.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła ósma.

— Jest już późno. Muszę się spieszyć — powiedziała chłodno. Zawróciła i poczęła iść ku zamkowi. Szedł obok niej chmurny.

Rozumiałby ją, gdyby się oburzyła na jego propozycję, gdyby odrzuciła ją z gniewnem zdumieniem. Ale ten śmiech, ten śmiech nerwowy, to wzgardliwe przemilczenie bolało go najbardziej.

Walczyła z nerwowym śmiechem, śmiechem, który w tej chwili był smutniejszy niż łzy.

— Ofiarował jej stanowisko kochanki... Na to nie mogła się oburzyć, nie mogła się obrazić, mogła tylko reagować śmiechem.

Spojrzała na towarzysza. Był blady, jakby mu wszystka krew uciekła z twarzy. Usta zacisnął jakimś bolesnym skurczem, zmarszczył brwi. Cierpiał i to cierpiał głęboko.

Doszli do polowy parku. Spoza drzew przeglądały mury zamku. Zatrzymała się nagle. Stanął i on.

Zupełnie niespodzianie objęła go za szyję i przywarła do jego ust gorącym pocałunkiem. Świat zatracił się dla nich. Zniknął ten zamek i te stare drzewa parku, w oczach i duszach mieli tylko piękne, czyste, rozsłonecznione niebo.

Karina wysunęła się z jego objęć i zanim zdołał oprzytomnieć zniknęła mu z oczu za żywopłotem, oddzielającym obszerny, zapuszczony gazon od reszty parku.

— Gdybyś mogła być moją, gdybym był wolny i niezależny.

IV.

Księżniczka nie pamiętała jak i kiedy dostała się do swego pokoju. Usiadła na kanapce, stojącej pod oknem, przycisnęła oburącz skronie i suchemi, tępemi z bólu oczyma patrzyła w przysłonięte drzewami okno, nie mogąc zebrać myśli.

I o czemże miała myśleć?

Czy o małżeństwie z niekochanym człowiekiem, czy też o nim, o Sandro i jego beznadziejnej miłości, nie mającej żadnej przyszłości, żadnego widoku...

Uciec z nim? Skandal, żer dla dziennikarzy, pogarda najbliższych, zapomnienie, wykreślenie z rodziny, sfery, z almanachu gotajskiego, ubóstwo, ciężka walka i poniżenie...

Czy chciałaby naprawdę zostać zwykłą śmiertelniczką? Czy miałaby przy jego boku cierpieć niedostatek? Ta jej ucieczka musiałaby się skończyć i dla niego fatalnie, straciłby stanowisko u dworu.

Czy chciałaby naprawdę zostać jakąś panną Braun, pod której nazwiskiem występowała na Sycylji? Czy mogłaby żyć w skromnem otoczeniu, patrzeć z zazdrością na karety dworskie, na loże, w których rozpierają się królewięta i książęta krwi? Czy miała być kimś z tego ciekawego tłumu widzów, obserwującego przepych i sztuczne dostojeństwo ludzi wysoko urodzonych?

W czasach republikańskich tytuł, urodzenie, mimo wszystko zachowały swe znaczenie. Tak jak kiedyś za carskich i królewskich czasów wywoływały zainteresowanie, tajoną zazdrość i jakiś osobliwy pietyzm. Zmieniło się wiele, zmieniły się zapatrywania, poglądy, kierunki, zmieniły się rządy, ale snobizm pozostał ten sam.

Jak przed laty, tak i teraz każdy proletarjusz przy nadarzającej się okazji będzie się chwalił swymi antenatami. Byle stróż będzie wywodził, że on to nie byleco, bo jego stryj jest organistą w Moczydłowie, czy innej parafji, a jeśli już przypadkiem ma księdza w rodzinie, to traktuje lokatorów protekcjonalnie, albo jak sobie równych. Na służbę domową patrzy taki pan przez ramię. Każda służąca podkreśla, że ona nie jest „z bylejakiej rodziny", bo ojciec jest majstrem, wujek konduktorem, a brat sierżantem.

Każdy będzie z dumą podkreślał, że pochodzi z t. zw. „lepszej familji".

Przecież każde uzdrowisko, każda miejscowość kąpielowa stara się dla reklamy o kilka hrabin, lub conajmniej o jakąś księżnę. Bez hrabiego, hrabiny, księcia, lub innego tytułu arystokratycznego, nie obejdzie się żaden z lepszych hoteli, czy pensjonatów.

Arystokraci zwłaszcza teraz w dobie ogólnego zubożenia, bardzo często płacą w hotelach i pensjonatach pół ceny, a nieraz i nic. Trzyma się ich dla splendoru, odgrywają rolę przynęty dla zwykłych śmiertelników. Każdy bogaty snob chce po powrocie do domu pochwalić się, że mieszkał w pensjonacie, w którym stali hrabiowie, że z księciem X, czy hrabią N. grał w brydża, lub w tenis.

— Nie, nie umiałaby żyć bez tego blichtru wielkiego świata, do którego należała od urodzenia.

Kochała bardzo swą rodzinę. Wiedziała, że nie wolno jej się cofnąć, nie wolno zrywać zaręczyn, gdyż pociągnęłoby to za sobą ruinę rodziców i rodzeństwa. Musiała patrzeć trzeźwo na życie.

Znowu jak kiedyś na Sycylji przypomniała sobie słowa starej ciotki, mówiącej o tem, że urodzenie i pochodzenie nakłada obowiązki na każdego, zależnie od wysokości szczebla drabiny społecznej, na której się dany osobnik ludzki znajduje. Powtarzano jej stale, że członek starego rodu nie może i nie wolno mu z własnej woli wypędzać w nędzę i na poniewierkę swych najbliższych, że musi cenić starą krew i stare tarcze herbowe.

Zdawała sobie jasno sprawę, że jej miłość beznadziejna, że musi na zawsze pozostać pięknem wspomnieniem, niezniszczonem nigdy marzeniem.

Karina była młoda. Mimo tych trzeźwych rozmyślań, serce jej broczyło krwią. Rwała się tęsknotą do szczęścia z ukochanym. Buntowała się przeciwko wszystkim nakazom.

* * *



Angielski lotnik Campell Black żegna się przed lotem ze swą żoną, artystką filmową Florence Desmont.

Około godz. 11-ej rozdzwoniły się dzwony katedry. Biły donośnie, poważnie i dźwięcznie. Miarowo uderzały ich spiżowe serca, zwiastując światu ważną chwilę zaślubin panującego księcia z ubogą dziś księżniczką.

W sali zamku, tronową zwanej, zbierał się powoli orszak weselny.

Stawili się drużbowie. Zjawił się pan młody, przybył stary książę. Barwnym korowodem weszło na salę 12 druchen w jasnobłękitnych sukniach z bukietami białych róż w ręku. Każda z nich na przegubie ręki miała złotą bransoletę z medaljonikiem, na którym wyryty był monogram książęcej pary i data ślubu.

Wesołym, roześmianym wieńcem otoczyły drużbów i pana młodego.

Wielki książę — pan młody — miał twarz znudzoną, cerę ziemistą i podbite oczy. Od czasu do czasu nerwowy skurcz podciągał śmiesznie lewy kąt jego ust.

Z drużbów brakowało jedynie następcy tronu. Nie dziwiono się jego opóźnieniu, wiedząc, że przyjechał bardzo wcześnie rano.

Zjawił się wreszcie i on. W galowym, generalskim mundurze, smukły, wysoki, o śniadej cerze i szarych, wyrazistych oczach, zrobił wrażenie na niewieścim orszaku.

Druchny spłynęły w jego stronę, jak barwne motyle. Pierwsza stanęła przy nim księżniczka Kornelja.

— Książę jest moją parą — oświadczyła na pół triumfująco, na pół wyzywająco. Z księżniczką Eufemją obie prowadzimy pana młodego do ołtarza. Książę prowadzi Franciszkę.

— Franciszkę? Co za okropne imię — pomyślał. Spojrzał przelotnie na pana młodego, a następnie zwrócił twarz w stronę mówiącej.

— Gruba, niezdarna, ciężka Niemka, jakaś tam Franciszka, w sam raz będzie odpowiednią dla tego kretyna — myślał dalej ironicznie.

Witał się ze wszystkimi. Stary książę przedstawiał gości.

Kiedy doszedł do księżniczki Gabrjeli, stojącej na uboczu i rozmawiającej ze starszym hrabią Diensteinem, drgnął. Spojrzał na nią dość długo.

— Nieładna — zawyrokował w duchu, ale figurę ma niczego...

Zaintrygowało go to, że nie narzuciła mu się jak inne, nie okazała zbytniego zainteresowania się jego osobą.

— Kto ona? Co to za jedna? — zapytał jednego z synów pana domu.

— Księżniczka Gabrjela, córka księcia Klaudjusza, tego adwokata, mieszkającego w Turyngji. Bieda tam aż piszczy. Podobno to jakaś uczona z dyplomem i doktoratem, studjowała nawet w Camblidge.

Zrobił się ruch przy drzwiach.

Przerwano rozmowę. Oczy wszystkich pobiegły w stronę obszernych drzwi, zasłoniętych ciężkiemi portjerami.

Ręce lokai rozsunęły portjery i w głębi na tle obszernego zamkowego okna ukazała się jak zjawa w bieli, w obłokach koronek i gazy, panna młoda, mająca na głowie welon z bezcennych koronek. Welon ten jak mgła otaczał jej twarz. Szła lunatycznym krokiem z przymkniętemi oczyma w stronę oczekujących. Za nią postępowała księżna matka w otoczeniu kilku starszych pań.

Stary książę ujął pod rękę następcę tronu.

— Chodźmy, powiedział szeptem, prowadząc go w stronę młodej dziewczyny.

Podniosła opuszczone powieki i wyciągnęła ku niemu drżącą, małą dłoń, odrzucając welon z twarzy.

Spojrzeli sobie w oczy i na twarzy obojga spłynęła bladość.

W oczach dziewczyny zalśniło jakieś bolesne przerażenie, usta drgnęły jakby chciały krzyknąć: Sandro!...

Nie wiedział, w jaki sposób opanował się do tego stopnia, że nie krzyknął: Karina!...

Mieli wrażenie, jakby przepaść jakaś rozwarła się u ich stóp.

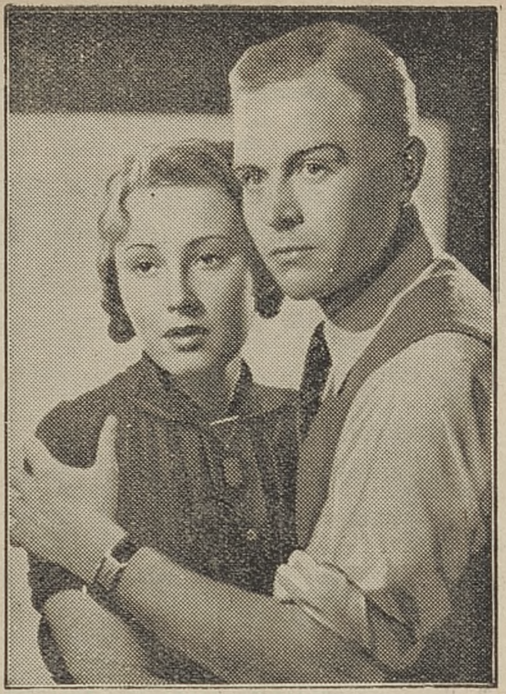
Nie dano im ochłonąć. Książę ojciec naglił do pośpiechu. Biskup i księża czekali w katedrze. Tłumy dawnych poddanych wielkoksiążęcego rodu ściągnęły z najdalszych zakątków małego księstwa i już od wczesnego ranka oblegały zamek i kościół.

Dzwony grały swą triumfalną pieśń.

Jak we śnie prowadził pannę młodą po schodach zaścielonych czerwonem suknem, potem siedział obok niej w karecie wybitej białym atłasem, jechał ulicami wśród tłumów, znowu prowadził ją po stopniach do kościoła i do ołtarza. Miał wrażenie, że idzie za pogrzebem, że te dzwony grają pogrzebową nutę, że ta biel jej szat to pogrzebowy, śmiertelny całun.

W duszy szydziła z niego rozpacz. Straciłeś wszystko. Głupcze, bezdenny głupcze.

Patrzył niewidzącemi oczyma na ołtarz, przy którym Karina przysięgała wierność innemu.



W Wiedniu ożenił się znany aktor niemiecki Gustaw Frölich z młodziutką artystką Lidą Baatrową. Widzimy ich razem na naszem zdjęciu.

Usłyszał za sobą złośliwy szept:

— Czemu ona tak cicho odpowiada księdzu? Przecież przemocą nie ściągnię to jej do ołtarza, poszła dobrowolnie.

— Gdzietam dobrowolnie — mówił drugi szept, poświęciła się dla rodziny, Stary książę był w strasznem położeniu. Synowie narobili bardzo wiele długów. Narzeczony za jej rękę obiecał popłacić wszystkie zobowiązania swych przyszłych szwagierków.

— Słyszałam — odpowiadał pierwszy szept — że z pana młodego to wielki pijak i człowiek nienormalny, zdegenerowany typ. Mówią, że upija się do poduszki i po nocach wyprawia niesamowite historje.

— Czy wiecie, że Teo, ta sławna aktorka, uciekła kiedyś od niego w negliżu? — odezwał się szept trzeci. — Był skandal. Drogocenną kolją zamknięto jej usta.

Następca tronu zaciął usta aż do krwi. Zgroza przejęła go na myśl, że to śliczne, bujne radością życia młode dziewczę, oddaje jej rodzina takiemu zezwierzęconemu osobnikowi.

Poczuł całą swoją bezsilność. Cóż może poradzić? Jak może przeszkodzić tej zbrodni?

Wyprostowany jak świeca w galowym mundurze musi stać i patrzeć spokojnie na ten targ ohydny, na to sprzedawanie tej białej niewolnicy dla interesu rodziny.

Znowu doleciał go szept.

— Podobno nie chciała... broniła się... rozchorowała się nerwowo. Musiano ją dla uspokojenia wysłać gdzieś w góry, czy też nad morze. Nie było jej kilka tygodni, pojechała tylko z ochmistrzynią.

— Że też te kobiety wszystkie są jednakie, — pomyślał z goryczą. — Jeśli chodzi o plotki, to niczem nie różnią się księżne od przekupek. Oderwał wzrok od klęczącej białej postaci i przeniósł go na tłum. Spotkał się z oczyma księżniczki Gabrjeli.

Patrzyły na niego szaro-niebieskie oczy księżniczki współczująco, życzliwie.

Opanował się. Przykrył oczy powiekami i skupił całą swą wolę. Musiał być spokojny.

Zabrzmiał chór. Śpiewano „Veni Creator". Para nowożeńców szła obok siebie przez świątynię, kłaniając się na wszystkie strony.

Księżniczka Kornelja wsparła swą dłoń na podanem jej przez następcę tronu ramieniu. Nie rozumiał tego, że mógł się jeszcze w tej chwili zdobyć na uśmiech.

Uśmiech ten nie znikł z jego ust w czasie całej powrotnej drogi do zamku.

Dopiero w hallu zamkowym, gdy wszyscy składali młodej parze życzenia, zbladł znowu i znowu drgać poczęły usta, kiedy całował chłodną dłoń młodej małżonki.

Nie patrzył jej w oczy. Nie składał życzeń. Nie wszczynał rozmowy. O czemże miał mówić? Ustąpił miejsca innym, cisnącym się do młodej pary. Sam zmięszał się z tłumem.

Przeszedł przez amfiladę odświeżonych pokoi, rzucił się w jakiś fotel, stojący w kącie i pogrążył się w bolesnej zadumie.

— Zmarnował samochcąc największe szczęście swego życia. Pogrzebał miłość. Miał bogactwo, dostojeństwa, miał najwyższą pozycję w kraju, miał godność jaką się niewielu ludzi na świecie poszczycić może... Czemże to wszystko jednak wobec faktu, że stracił na zawsze miłość, że odepchnął ją w chwili, gdy przyszła do niego w postaci pięknej dziewczyny.

— Teraz ta ukochana, ten jego wyśniony ideał, ta treść jego życia, należy do innego. Ten inny ma do niej prawo. Ten inny będzie brukał jego świętość.

Syknął z bólu. Zerwał się z fotela i począł przemierzać pokój nerwowemi krokami. Zakrył dłonią usta, jakgdyby się bał, że jego ból i rozpacz wypłyną jękiem czy krzykiem na świat.

— Co za potworność! Boże, co za potworność! szeptał, oddychając ciężko.

* *
*

Proszono do uczty weselnej.

Będą weselić się, będą pić za zdrowie i pomyślność młodej pary. Będzie musiał grać dziwnie tragiczną rolę. Stanął chwilę u drzwi, powiódł ręką po zroszonem potem czole i ruszył jak automat w stronę wielkiej sali, z której płynął wesoły pogwar ludzkich głosów. Roiło się na schodach od zaproszonych gości. Wszedł w ludzką gromadę. Nastrój był wesoły i cokolwiek podniecony. Opowiadano sobie dowcipy, anegdoty, opowiadano różne towarzyskie plotki. Tu i ówdzie padł jakiś ciężki, gruby i ordynarny dowcip.

— Chodźmy już — nawoływał książę Jan, wysoki, otyły mężczyzna o nalanej twarzy, wiecznie głodny, słynny obżartus. — Chodźmy, nie należy trzymać długo tych biednych nowożeńców, bo pomdleją z głodu i niezaspokojonego pragnienia.

Ktoś począł śmiać się głośno i brutalnie.

Te ostatnie słowa wypowiedział ze znaczącym naciskiem. Zawtórował mu śmiech zebranych. Towarzystwo ruszy-

ło w stronę sali, w której zastawiano stoły biesiadne.

Księżniczka Kornelja, wziąwszy pod ramię następcę tronu poczęła dosłownie ciągnąć go za sobą.

Szedł za nią już spokojny i prawie pogodny. Musiał się opanować. Wymagała tego racja stanu.

W sali biesiadnej zgromadzili się wszyscy goście. W kilka chwil później weszli nowożeńcy. On z miną znudzoną, ona blada i smutna.

Rozległy się fanfary, zabrzmiała muzyka. Długie stoły lśniły od sreber i kryształów, mieniły się tęczą barw kwiatów, ustawionych w cennych flakonach. Pośrodku głównego stołu ustawiono dwa bliźniacze fotele, przystrojone kwiatami.

Następca tronu przystanął, puszczając przodem swą towarzyszkę. Dojrzał te fotele i znowu fala krwi zalała mu oczy. Widział tylko czerwone płatki przed sobą, uczuł jakiś ból w sercu.

Jako najdostojniejszy z gości szedł do stołu tuż za młodą parą. Widział wątłą, przygarbioną sylwetkę księcia. Na pannę młodą nie spojrzał.

Jak gdyby na ironję posadzono go naprzeciw nowożeńców. Teraz widział jej bladą twarz, tragiczny wyraz jej oczu i drżące usta.

A więc nie koniec jej męce?!

Spotkali się wzrokiem. Usta księżniczki drgnęły, zdawało się, że wybuchnie płaczem. Robiła wrażenie bezbronnego, niewinnie skrzywdzonego dziecka.

Zacisnął mocno pięści i spojrzał w stronę księcia. Jakże wstrętne wyglądał. Twarz spocona, lśniąca, nalana kłóciła się z wątłą budową jego ciała. Małe oczy szkliły się bezmyślnie, a usta krzywił głupowaty uśmiech.

— Ten kretyn i moja Karina — pomyślał. Wzdrygnął się na to zestawienie.

— Niewesoły z księcia drużba — odezwała się księżniczka Kornelja, dotykając małą rączką jego ramienia.

Przemógł się. Przywołał uśmiech na usta. Pochylił się w stronę sąsiadki i powiedział wesoło:

— Poprawię się.

Począł ją bawić rozmową. Silił się na dowcip. Księżniczka Kornelja spłonęła rumieńcem zadowolenia. Podobał się jej ten przystojny książę. Chętnie zostałaby jego żoną. Tron zawsze ma jednaki, nieodparty urok. Wabi jednako dziewczynę z ludu, jak i księżniczkę.

Nie przeczuwał jej pragnień. Nie istniała dla niego. Nie zauważył nawet, czy jest ładną. Dla niego w tej chwili istniała jedna, jedyna kobieta, którą mu zabrano podstępnie.

— I kto ją zabrał? — myślał z goryczą, zdegenerowany, obciążony dziedzicznie cherlak, który jej nie oceni, nie uszanuje, nie da nawet jej pozorów szczęścia. Z ponownej zadumy wyrwał go znowu szczebiot sąsiadki. Ocknął się. Podawano do stołu.

Jadł machinalnie. Księżniczka Kornelja starała się bawić swego towarzysza.

— Nie ruszajmy legend — odpowiedział. — Legenda to czar tajemniczości, który bardzo często kryje za sobą banalną prozę.

— Byłyśmy bardzo ciekawe zobaczyć księcia. Żadna z nas nie znała go. Słyszałyśmy różne legendy o panu.

— O, książę nie jest banalny — oburzyła się szczerze.

— Dziękuję za komplement — odpowiedział. Odwzajemniając się za dobre słowo, powiem, że pani jest najbardziej uroczą ze wszystkich niewiast, jakie kiedykolwiek spotkałem.

Oczy księżniczki zalśniły radością.

— Czy książę mówi to z przekonaniem? — zapytała.

— Głupia gęś — pomyślał. A potem patrząc na nią powiedział, nie kryjąc ironji:

— Czy pani wątpi w prawdziwość mych słów?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Poczęła się jąkać. — No, nie... a może trochę...

Roześmiał się.

Proszę nie udawać wielkiej skromnisi. Przecież lustro mówi codziennie, że pani jest śliczną.

Zaczęło go bawić to głupiutkie stworzenie.

Poczęto wznosić toasty. Szły kolejno jeden po drugim. Pierwszy zaczął się przy rybach. Inne wygłaszano przy bażantach, deserze, wetach, szampanie i tradycyjnym niemieckim torcie weselnym z piramidą cukrów, z koroną książęcą i inicjałami państwa młodych.

Opanowało go jakieś szaleństwo. Ból przeszedł w nim gryzącą bolesną ironję. Wznosił toasty, pił na humor i szeptał miłe słówka swej sąsiadce.

— Książę zadużo pije — przestrzegała go Księżniczka Kornelja. Łatwo można się upić.

— Już się upiłem — odparł wesoło. — A czy wie księżniczka czem? — dodał zniżając głos.

Spojrzała na niego pytająco.

— Pani urokiem...

Spłonęła rumieńcem. — Chciałabym, żeby to była prawda — pomyślała.

Przestał pić. Odsunął butelkę szampana, którą nad jego kieliszkiem przechylił lokaj.

— Tego brakowałoby tylko jeszcze, żebym się upił jak ten dudek — pomyślał zły sam na siebie, spojrzawszy na pana młodego, na jego zamglone oczy i głupi pijacki uśmiech.

Spojrzał na młodą żonę. Siedziała blada, bez kropli krwi w twarzy. W oczach miała wyraz tępego bólu. Zacisnęła usta, a ręce drżały jej nerwowo.

Zbudziło się w jego duszy współczucie dla niej.

Przecież jej los jest gorszym od mojego — pomyślał. Jestem wolny, niezależny, ale ona... ona... i ten opój. Biedactwo moje — rozczulał się.

Nagle Karina uśmiechnęła się do kogoś blado, a jednak serdecznie.

Spojrzał w tę stronę.

Ujrzał księżniczkę Gabrjelę patrzącą z głękiem współczuciem na ofiarę ciasnych przesądów kastowych.

Poczęto wstawać od stołu. Muzyka grała marsza weselnego. Towarzystwo poczęło się rozpraszać.

Panie przeszły do gobelinowego salonu, panowie do palarni. Lokaje roznosili likiery i czarną kawę.

W salonie druhny otoczyły pannę młodą.

„Wiesz — odezwała się do niej księżniczka Kornelja, że następca tronu, to szalenie miły chłopiec. Powiedział mi w czasie śniadania, że jestem najbardziej uroczą ze wszystkich kobiet, jakie znał.

— Ach, tak, zauważyła bezbarwnie młoda mężatka.

— Gdy zwróciłam mu uwagę, żeby tak dużo nie pił — mówiła dalej księżniczka Kornelja — odpowiedział, że już upił się moim czarem.

— No i cóż wy na to powiecie? — odezwała się do swego otoczenia panna młoda. — Prawda, niezwykły sukces Kornelji?

Do młodej mężatki zbliżyła się matka.

— Możebyś poszła odpocząć? — prosiła zatroskana jej bladością. — Źle wyglądasz.

— Nie, wolę tu zostać — szepnęła. Czuła, że tam w swoim pokoju wybuchłaby płaczem. Nie chciała płakać. Musiała zachować spokój.

Stara księżna odeszła od córki z sercem ściśniętem macierzyńską troską. Żal jej było dziecka, wiedziała, że przed młodą dziewczyną jest życie pełne trosk i ciężkiej doli.

— Cóż zrobić? — pocieszała sama siebie. — Taka już nasza dola. I ja tak samo drżałam w dniu swego wesela, a jednak żyję.

Patrzyła zdaleka na córkę stojącą w gronie rówieśniczek, wysoką, smukłą, sztywno wyglądającą, w długiej i ciężkiej sukni ślubnej i koronkowym welonie. Nie domyślała się przeogromnego, rozpaczliwego bólu, który szarpał serce młodej dziewczyny.

Nie domyślały się tego i rozbawione dziewczęta, otaczające barwnym wieńcem pannę młodą. Może tylko jedna księżniczka Gabrjela.

Ona... Ale ona nie liczyła się w tem gronie. Była nieładna, uczona, nad wiek poważna, samodzielna i nad swoją sferę mądra.

W męskim gabinecie tymczasem bawiono się wesoło opowiadaniem anegdot i pieprznych kawałów. Alkohol zdzierał z tych panów codzienną maskę, wyzwalał ich z pęt towarzyskiej sztywności i odsłaniał mierną inteligencję i prostactwo gusta.

Pan młody pijany jak bela, zapijał czkawkę czarną kawą.

— Dogodził sobie — mruknął następca tronu do najbliższego sąsiada wielkiego księcia Aleksego.

— Nie nowina dla niego — odmruknął tamten. — Mówią, że w swej sypialni ma ukrytą baterję z alkoholem, którą lokaj uzupełnia co rana.

— Jakto? I księstwo odważyli się wydać za tego alkoholika swoją jedynaczkę?

Książę Aleksy wzruszył ramionami.

— Co mieli robić, bieda, głód i chłód to wielcy mocarze. — Książę nie myśli zrezygnować ze swych kawalerskich swobód? — zapytał, zmieniając temat rozmowy.

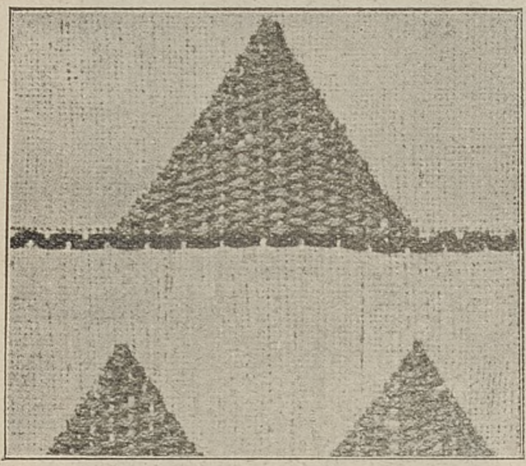
— Pomyślę o tem może już niedługo — odpowiedział bez entuzjazmu.

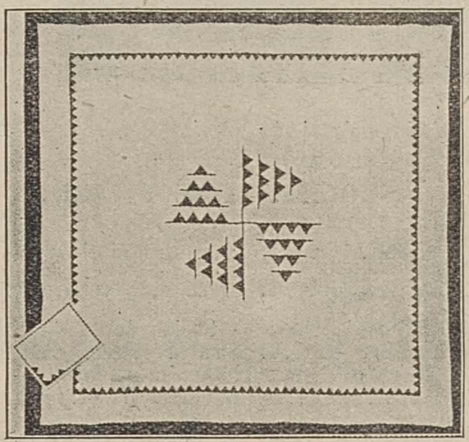
Wiedział, że musi to uczynić, ale było mu obojętne na kogo padnie wybór stryja.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

Raj kobiet

Proste — i nietrudne





Obrus o oryginalnym, geometrycznym wzorze, którego motyw naturalnej wielkości podajemy obok dla orjentacji, jakich używać ściegów. Obrus ten, wielkości 1,20 m x 1,20 m i małe serwetki 20 cm x 15 cm haftujemy nićmi mouliné w dwóch kontrastowych kolorach na samodziale lub surowym jedwabiu.



Ostatnie spojrzenie w lustro i piękna Pani wychodzi zadowolona, że jej zeszłoroczny zimowy płaszcz jest jeszcze modny i elegancki.

DOBRA GOSPODYNI

Szarlotka z jabłek w kruchem cieście.

Zagnieść 10 deka niesolonego masła z 1/4 kg. mąki, łyżką stołową cukru i takąż łyżką gorącej wody, doskonale wyrobić ciasto i rozwałkować bardzo cienko. Ciastem tem wyłożyć dno i boki rondla wysmarowane masłem i wysypane tartą bułeczką. Na ciasto ułożyć równą warstwą cieniutko poszatkowane jabłka, pół kg posypane cukrem i cynamonem, przykryć ciastem i wstawić w piec na godzinę. Na wierzch na ciasto położyć kawałek masła i nakłuć ciasto w kilku miejscach.

—o—

Ze świata

Emigrant polski właścicielem kopalni złota.

W końcu marca br. gazety kanadyjskie przyniosły wieść o tragicznej śmierci dyrektora i właściciela szeregu kopalń złota w Kanadzie — Stanleya E. Siscoe.

Liczna kolonja polska we wschodniej Kanadzie, a zwłaszcza w Montrealu, pod tem przybranem nazwiskiem znała swego rodaka — Stanisława Szyszko, który podobnie, jak tysiące innych Polaków, wyemigrował w roku 1907 z rodzinnego Poznańskiego do Kanady, dokąd w tym czasie „gorączka złota" kierowała tysiące poszukiwaczy szlachetnego kruszcu.

Jako „prospector", to jest poszukiwacz złota, S. Szyszko okazał się bardzo przedsiębiorczym. Wiedziony instynktem, skierował się z kilku przyjaciółmi — rodakami tam, gdzie nie poszli wtedy inni, a mianowicie do północnego Quebecu.

I tu po pewnym czasie odkrył bogate złoża rudy złotodajnej, którą zaczął eksploatować początkowo przy pomocy rodaków, później tworząc towarzystwa akcyjne i syndykaty, m. in. Siscoe Gold Mines Co, które dziś jest jedną z najlepszych kopalń złota w Kanadzie.

W sferach miejscowych S. Siscoe'a uważano za pioniera przemysłu kopanianego Quebecu.

Pomimo małżeństwa w roku 1923 z francuską — kanadyjką, Szyszko nadal utrzymywał kontakt z rodziną w Polsce, dokąd kilkakrotnie wyjeżdżał w odwiedziny.

W końcu marca br. S. Siscoe udał się prywatnym samolotem z Montrealu do jednej z kopalń w dalekiej puszczy północnego Quebecu. Zima kanadyjska była w pełni.

Gdy po kilku dniach brakowało wiadomości o samolocie i jego dwóch pasażerach, rozpoczęły się gorączkowe poszukiwania przy pomocy aeroplanów i ekspedycyj pieszych na nartach, a raczej t. zw. rakietach do śniegu.

Po kilku dniach jeden z aeroplanów ratowniczych odnalazł napół zamarzniętego pilota. Następnego dnia rano inny aeroplan natrafił na zastygłe już ciało S. Sescoe. Dopiero z opowiadania pilota dowiedziano się, że samolot musiał lądować na jeziorze Machmanitou (nazwa indjańska) wskutek defektu w motorze w czasie strasznego „blizzard" — burzy śnieżnej. S. Siscoe i pilot znaleźli w pobliżu chatkę opuszczoną przez traperów, lecz S. Siscoe nie chciał czekać. Lekko ubrany w strój miejski, założył rakiety i wyruszył po pomoc. Ze znalezionych śladów wnioskować można, że stracił drogę, próbował wrócić do chatki, i w drodze z wycieńczenia, głodu i nieludzkiego zimna zamarzł.

Tym razem szczęśliwa gwiazda opuściła go. Zginął o 25 mil od swej kopalni, w sercu tych okolic, które przyniosły mu sławę, fortunę i... śmierć.

—o—

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 27. 10. do dnia 2. 11. 1935 r.

Niedziela, dnia 27 października 1935 r.

9,30 Audycja poranna 10.00 Nabożeństwo z Torunia 12.03 Przegląd teatralny 12.15 Poranek muzyczny z Katowic W przerwie o godz. 13.00 fragm. teatr. „Pan Damązy" 14.00 Fragment z powieści „Krwawnik" 14.20 Muzyka salonowa z płyt 15.00 Godzina rolnika 16.00 Łamigłówki dla dzieci 16.15 Koncert Zespołu Adamskiej — Grossmanowej 16.45 „Cała Polska śpiewa" 17.00 Muzyka taneczna 17.35 Migawki regjonalne 17.55 Młodzież całego świata śpiewa — międzynar. audycja 20.00 „Co czytać" 20.25 Koncert 20.45 „Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego" 20.50 Dziennik Wieczorny 21.00 „Lwowska Wesoła Fala" 21.30 Nad Adrjatykiem — w Rawennie" — feljeton 21.45 Wiadomości sportowe 22.20 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 28 października 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik popołudniowy 12. 15 Koncert małej orkiestry P. R. 15.30 Muzyka z płyt 16.00 Lekcja niemieckiego 16.15 Trio salonowe Haliny Balińskiej 16.45 „Wywiad — skecz 17.00 Fantazja u dzieci — pogadanka 17.15 Wiersze Aleksandra Janta — Połczyńskiego 17.20 Koncert solistów 17.50 „Jesienne nastroje" — pogadanka 18.00 Koncert kolejarzy śląskich 18.30 Listy od dzieci 18.45 Arje w wykonaniu Georgesa Tchilla 19.00 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 „Muzyka ludowa" — audycja muzyczna 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrazki z Polski współczesnej 21.00 „Wesele na Podolu" — audycja słowno — muzyczna 21.30 wieczór literacki poświęcony Marji Konopnickiej 22.00 Koncert symfoniczny pod dyr. Henryka Pensisa 23.05 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 29 października 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół 12.30 „Tysiąc taktów muzyki" 13.30 Z rynku pracy 15.30 Koncert mandolinistów 16.00 Skrzynka P. K. O. 16.15 Koncert popularny 16.45 „Cała Polska śpiewa" 17.00 Odczyt o asfalcie 17.15 Muzyka lekka ze Lwowa 17.50 Encyklopedja mówiona 18.00 Trio — Smyczkowe op. 9 Beethovena 18.30 „Warszawa w literaturze i anegdocie" 18.45 Józef Szmidt na płytach 19.00 Wiadomości rolnicze 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 „U dentysty" — monolog w wykonaniu Kurnakowicza 20.10 Transmisja inauguracyjnego koncertu symfon. z Lublina 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 „Obrazki z Polski współczesnej" 21.05 Recital fortepianowy 21.35 Feljeton muzyczny 21.45 Muzyka lekka z udziałem Olgi Kamieńskiej 22.30 Feljeton — „Polska w oczach Anglika 22.45 Zlot skautów w Spale — odczyt w języku esperanckim 23.05 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 30 października 1935 r.

6.30 Audycja Poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 „Kobieta skąpa i kobieta oszczędna" — pogadanka 12.30 Koncert małej orkiestry 15.30 Muzyka lekka 16.00 „Kuba chciwiec" — obrazek słuchowiskowy dla dzieci 16.20 Recital skrzypcowy 16.45 Rozmowa muzyka ze słuchaczem radja 17.00 „Szary człowiek" — odczyt Starego Doktora 17.20 Koncert orkiestry Adama Furmańskiego 17.50 „Świat się śmieje„ 18.00 Koncert serenad 18.30 Skrzynka ogólna 18.45 Muzyka popularna 19.00 Porady weterynaryjne 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Reportaż aktualny 20.00 „Ktoś, kto przyjdzie" — komedja muzyczna 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 IX — a audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina" 21,45 „Kwadrans poetycki" pamięci Br. L. Michalskiego — poświęcony 22.00 Nadnercze — pogadanka dla lekarzy 22.10 Muzyka lekka i taneczna.

Czwartek, dnia 31 października 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Poranek muzyczny dla młodzieży 13.00 Muzyka francuska 15.30 Trio salonowe 16.00 „O małem dziecku" — opowie Stary Doktór 16.15 Polska Fanfara 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 „Kolonje niemieckie i francuskie w Afryce" — odczyt 17.15 Utwory Bacha 17.50 O książce „U podstaw organizacji Wojska Polskiego" 18.00 Audycja z okazji „Dnia oszczędności" 18.15 Recital Janiny Kay-Kuczyńskiej 18.45 Koncert 19.00 Poznajmy przepisy finansowo-rolne 19.35 Wiadomości sportowe 20.00 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 „Cezar przed Rubikonem" — słuchowisko, (premjera) 21.35 Nasze pieśni 22.00 „Kwartety Haydna" koncert V-y 22.25 Muzyka lekka i taneczna.

Piątek, dnia 1 listopada 1935 r.

9.00 Audycja poranna 10.30 Nabożeństwo z Warszawy 12.15 Poranek muzyczny. W przerwie o godz. 13.00 „Baśniowa noc" — audycja ze Lwowa 14.00 Fragment z powieści „Zwycięstwo Józefa Żołądzia" 14.20 Koncert 15.40 Audycja dla wszystkich z Wilna 15.45 „O czem mówią na wsi" 16.00 Pogadanka dla chorych 16.15 Koncert orkiestry Tadeusza Seredyńskiego 16.45 „Zaduszny apel" 17.00 „Z instytutu psychotechnicznego" — reportaż 17.15 Wiersze Felicji Kruszewskiej 17.20 „Canzonetty i arje operowe starych mistrzów belcanta" — koncert 17.50 Poradnik sportowy 18.00 Koncert kameralny z Katowic 18.30 Pogadanka aktualna 18.45 Muzyka salonowa 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Biuro studjów rozmawia ze słuchaczami 20.00 „Requiem" — ostatnie dzieło Mozarta. Reportaż muzyczny 21.00 Dziennik wieczorny 21.10 Obrazki z Polski współczesnej 21.15 Koncert w związku z 40 rocznicą zgonu A. Zarzyckiego 22.30 Muzyka z płyt.

Sobota, dnia 2 listopada 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Koncert małej orkiestry 14.30 Muzyka 15.00 Odczytanie obrazka religijnego „Odwiedziny" 15.30 Audycja religijna z Poznania 16.00 Lekcja języka francuskiego 16.15 Koncert kameralny 16.30 Skrzynka techniczna 16,45 Cała Polska śpiewa 17.00 Nabożeństwo z Ostrej Bramy 17.50 Najmłodsze z wielkich miast polskich — Sosnowiec 18.00 Słuchowisko dla dzieci p. t. „Nurek" 18.30 Przegląd wydawnictw 18.45 Kwintet Es-Dur Mozarta 19.00 Przegląd rolniczej prasy 19.35 Wiadomości sportowe 20.00 Koncert solistów 20.45 Dziennik wieczorny 21.00 Audycja dla Polaków z zagranicy 21.30 „Widma" — sceny liryczne do słów Adama Mickiewicza 22.30 Muzyka z płyt.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

SMĘTEK JESIENI

Po osrebrzonych babiem latem łąkach,
Po szarych polach, po mokradłach sennych
Smętek się cichy wciąż snuje i błąka,
Melancholijny, jak ten wiatr jesienny...

To zajrzy w mroczną, martwą toń jeziora,
Lub z obłokami płynie wkrąg po niebie,
Czasem się chowa gdzieś po sennych borach —
W okwitłych ostach zwolna się kolebie...

I taką ciszę niesie wszędzie z sobą,
Że się wydaje, że zamarł świat cały —
...Tchnie głuchą pustką i smuci żałobą,
Jak cmentarz śmierci martwotą zszarzały...

Danuta Wyrybkowska.

KTO NAPISZE DO „IZARYS"?

„Izarys" przesyła wszystkim członkom „Krainy" siostrzane pozdrowienia, wstępuje do naszego grona i prosi, aby jakaś inteligentna osoba zechciała nawiązać z Nią korespondencję. Jest ciemną blondynką o dużych, marzących oczach, zgrabą i miłą. Czuje się straszenie osamotnioną, gdyż nie posiada wogóle rodzeństawa. — Jest jedynaczką. Małe miasteczko, położone nad jeziorami, to miejsce zamieszkania „Izarys". Kto z Sympatyków napisze do tej samotnej Panienki i w ten sposób rozproszy Jej miłemi listami szare, smutne dni jesienne, szczególnie przykre dla samotników, zamieszkujących małe miasteczka i wioski?

BARDZO CHĘTNIE!

„Ena". Kilka słów z listu Pana oddaję bardzo chętnie do druku:

„Samotna Konwaljo" i „Ido"! Serdecznie Wam dziękuję za przesłane mi pozdrowienia i ślę ich również moc z nowej placówki mej pracy. Proszę Was bardzo o skreślenie do mnie kilku słów. Ucieszę się ogromnie, gdyż odczuwam na obecnej posadzie dotkliwy brak towarzystwa."

Niewątpliwie, że powyższe słowa Pana przemówią do serc obydwóch Pań i w rezultacie otrzyma Pan upragnione listy, i znajdzie w korespondencji pewną odmianę wrażeń w środowisku nieznanych ludzi. Łączę jak najserdeczniejsze pozdrowienia.

APEL DO MIŁOŚNIKÓW MUZYKI

„Jasna blondyna z Pomorza." Widzę, że jest Pani bardzo uroczem stworzonkiem, kiedy posiada jasne loki, niebieskie oczy, i dołeczki w bródce i na lewem policzku. Chciałabym zobaczyć Panią choćby na zdjęciu!

„A teraz apeluję do: „Leona z Warszawy" — „Kmicica" — „Selimana — Paszy" — „Marzenia" — Szatyna E. S." — „Pella" i „Sympatycznego Przyjaciela", aby zechcieli do Pani napisać parę słów. A może napisze ktoś inny, jakiś miłośnik muzyki, gdyż kocha Pani nadewszystko muzykę i jest uczennicą Konserwatorjum Muzycznego"?

BLONDYNKI I BLONDYNI

„Smutna Czwórka z Tuczna". Dziękuję Państwu za słowa uznania dla „Moich Powieści" i zapytuję się kto zechce nawiązać korespondencję z „Smutną Czwórką", do której należą dwie Panie i dwóch Panów, ukrywających się pod pseudonimami: „Ciemna Blondynka", „Blondynka o błękitnych oczach", „Blondeyn o niebieskich oczach" i „Blondyn — marzyciel". Jak widzę cała „Czwórka" to blondyni, może więc dla odmiany, napisze do Niej jakiś szatyn lub brunetka?

POZDROWIENIA

„Młody Żołnierzyk" śle pozdrowienia: „Geni z nad Wisły" — „Pomorzance z nad Wisły" — „Lilce" — „Tęsknocie" oraz wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom „Moich Powieści". Jest to młody blondyn, średniego wzrostu o niebieskich oczach. Na każdy otrzymany liścik, przyrzeka dać natychmiastową odpowiedź. Czyż nie zachęcająco brzmi to zapewnienie?



Pani L. Sühring'owa z Grabowa n/Prosną jest wielką miłośniczką „Moich Powieści" i stałą ich Czytelniczką. Ślemy Jej wiele serdecznych pozdrowień.

PROSZĘ O DALSZĄ PAMIĘĆ!

„Żołnierzyk z Grodu Lecha". Pisze Pan, że nieraz przechodzi ciężkie depresje, w czasie których ogarnia Go wielkie zniechęcenie do życia. Drogi Panie! Jedynie od Pana zależy, aby podobne załamania nie powtórzyły się więcej. Za młody Pan na to, aby chmurnie patrzeć na świat, który jest, jakby polem wiecznej walki o byt, własne szczęście i zadowolenie. Musi więc Pan stanąć dzielnie do tej walki, jak przystało na prawdziwego żołnierza.

Kiedy pisałam to, przypomniały mi się dwa przepiękne wiersze. Pierwszy z nich, napisany przez Zygmunta Krasińskiego, mówi:

Bądź arcydziełem nieugiętej woli!
Bądź cierpliwością, tą panią niedoli,
Co gmach swój stawia z niczego, powoli!
Bądź spokojnością śród burz niepokoju,
W zamęcie miarą i strojem w rozstroju,
Bądź wiecznem pięknem w wiecznym życia boju!

Drugi zaś, Juljusza Słowackiego, niemniej wzniośle brzmi:

Ach! taką tylko młodość nazwać piękną,
Która zaburzy pierś jeszcze niezbrojną,
Od której nerwy w człowieku nie miękną,
Ale się staną niby harfą strojną,
I bite pieśnią zapału — nie pękną.

Przesyłając Ci, „Drogi Żołnierzyku" tych kilka słów pod uwagę proszę o dalszą pamięć i przesyłam w Twojem imieniu pozdrowienia wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom „„M. Powieści".

ZMIANA PSEUDONIMU

„Giaur". Któż z Sympatyków „Krainy" nie zna „Białego Murzyna"? Chyba wszyscy! To też pewna jestem, że zainteresuje każdego zmiana przez „Białego Murzyna" pseudonimu na „Giaur".

A teraz pomówimy krótko o nadesłanych wierszykach: do druku pójdą: „Kochaj mnie tylko" i „Smutno mi"! Myślę, że będą się podobać, zwłaszcza wszystkim zakochanym.

Zamiast specjalnie przekazywać pozdrowienia, oddaję do druku końcową część listu Pana:

„Dawny „Biały Murzyn" śle miłe i serdeczne pozdrowienia: „Blance" — „Dusi" — „Wenus" i „Maleńkiej Tajemnicy", oraz uznanie za wierszyki dla „Anity" (zwłaszcza za piękny, pełen sentymentu wiersz p. t. „W przystani"), dla „Dzinki" — „Jadźki z Kujaw" — „Lilli Wenedy" — „Kaliny" — „Stelli Maris" — „Leśnej Rusałki" i „Pomorzanki z nad Wisły", prosząc, by któraś z tych Pań do mnie bodaj krótki liścik napisała. Odpowiedź murowana! Osobne pozdrowienia śle „Lu z Pomorza", dodając, że przypuszczenia Jej są mylne".

Żegnam i spodziewam się od Ciebie, „Giaurze", nowego listu.

KOCHAJ MNIE TYLKO...

Kochaj mnie tylko — wszystko Ci poświęcę,
Wszystkie swe myśli.... gorące tęsknoty,
Niebo zadumy i słodkiej pieszczoty —
Złożę szczęśliwy, u twych stóp w podzięce.

Kochaj mnie tylko — twoich ócz spojrzeniem,
Poszeptem serca... każdym fibrem duszy,
Niech miłość nasza złotym promieniem —
Zostanie zawsze, w smutnej życia głuszy.

Kochaj mnie tylko — trwale, nieprzerwanie,
Niech zamkną cały świat nasze ramiona,
Pieśń naszych serc, jak baśń nieskończona
Na zawsze niechaj żywą pozostanie.

Kochaj mnie tylko, tak bardzo Cię proszę!
Niech nasza cudna miłość kwitnie skrycie.
Tę jedną prośbę do Ciebie zanoszę,
Bo tak Cię kocham gorąco, nad życie.

„Giaur".

PRZEKAZAŁAM WUJKOWI JANUSZOWI

„Pokutnik". Listy, zgodnie z życzeniem, odesłałam. Wiersze przekazałam Wujkowi Januszowi, który wyda o nich ocenę w następnym numerze. Łączę jak najserdeczniejsze pozdrowienia.

POZDROWIENIA I UKŁONY

„Jot — Bor" dziękuje za pozdrowienia „Żeni niewolnicy smutku" i „Oli z wesołej dwójki", śląc im nawzajem moc pozdrowień. Łączę również ukłony i pozdrowienia dla „Czarnej Perły", wraz z słowami wdzięczności za miłe listy.

ODPOWIEDŹ NA PYTANIE „TĘSKNOTY"

„Samotny Staś" przesyła „Tęsknocie" odpowiedź na Jej zapytanie, dlaczego tak uporczywie milczy:

„Nie jestem uporczywym w milczeniu, gdyż wysłałem do Pani list w dniu 20 lipca br., jednakże nie otrzymałem na niego odpowiedzi. Zkolei więc i ja zapytuję: jaka w tem tkwi przyczyna?"

APEL Z PAŁUK

„Platon" pisze: „„Chciałbym poznać osobę naprawdę inteligentną o miłem usposobieniu, muzykalną i kochającą życie wiejskie.

Wypowiedziałem się tak odrazu z mostu, gdyż pragnąłbym nawiązać korespondencję, którąby mi odpowiadała.

A teraz coś o sobie: jestem Wielkopolaninem lat 25, agronomem i zamieszkuję w południowej części Pałuk. Specjalnością moją są samotne, długie przechadzki w piękne, pogodne wieczory".

JESIENIĄ...

Przez niebo wiotka przędza przelata,
Jednakim blaskiem się mieni —
To nić srebrzysta babiego lata,
To pocałunek jesieni.

Żegnają kwiaty, żegnają zioła
Czar przeminionych zachwytów —
I dotknie twego zimnego czoła
Ten pocałunek z błękitów.

Złocą się liście, purpurą złocą,
Las strój królewski przywdziewa,
Wiatr płacze we dnie, łka cicho nocą,
Półsennie wtórzą mu drzewa.

A liść za liściem spada i spada,
A ciężkie płyną wciąż chmury,
Do zimowego snu się układa
Ziemia na łożu z purpury.

Lecz choć pól obszar i las i knieja
Weselny z siebie strój zrzucą,
W tej siejbie liści drzemie nadzieja,
Że dni wiosenne powrócą.

„Błękitny Rycerz“.

Janówko — 1935 r.

WIERSZ ZA DŁUGI NA OKŁADKĘ

„Błękitny Rycerz“. Drogi Panie! Takich długich wierszy, jak: „Szmer jesienny“ jest niepodobieństwem zamieszczać na okładce „Moich Powieści“, bo po pierwsze zabrakłoby miejsca, a po drugie nie pozwoliłby na to ustalony już układ graficzny okładek „Moich Powieści“. Nie może więc Pan mieć do mnie żalu, że zamiast na okładce, przedrukowuje wiersz Pana w „Krainie“ i to po skreśleniu niektórych zwrotek i po zmianie tytułu, gdyż poprzedni był niestosowny.

Skarży się Pan również, że nie otrzymał odpowiedzi na nadesłane do „Krainy“ listy. To niemożliwe! Żadnego listu nie pomijam milczeniem, na każdy daję choć krótką odpowiedź prędzej czy później. Listy więc Pana prawdopodobnie zaginęły w drodze, gdyż inaczej otrzymałby Pan na nie napewno jakąś odpowiedź. Z nadzieją, że już więcej nie zajdą żadne nieporozumienia w naszej korespondencji, proszę Pana o dalszą pamięć i przysyłania nowych wierszyków, najlepiej do Teczki Wujka Janusza.

„ZREWANŻUJĘ SIĘ KILKUNASTU STRONNICAMI“...

„Blanka“. „Nudzę“? Cóż znowu! Przeciwnie sprawia mi Pani zawsze swemi liścikami jak największe zadowolenie. Dowodem niech będzie, że bardzo chętnie załatwie wszystkie życzenia, zawarte w ostatnim liście Pani. A więc najpierw odpowiem Pani na najważniejsze pytanie: sympatyk, o którego Pani zapytuje nie mieszka, ani w Odolanowie, ani w Gnieźnie. Apel podaję niżej:

„Halo! która z miłych wesołych Czytelniczek „Moich Powieści“ zamieszkująca uroczą okolicę (leśniczówkę) lub tp. zgodziłaby się na wymianę myśli z „Blanką“, której jest bardzo smutno na świecie, a która kocha las, wodę i piękne ciche zakątki. Może która z „Siostrzyczek“ z Pomorza, która to część Polski specjalnie mnie interesuje, a może bliżej — z Wielkopolski, któraś do mnie napisze. Zrewanżuję się „kilkunastu stronnicami“.

Przesyłam także uznanie za wierszy p. Hel. Kraśnej z zapytaniem, dlaczego już od dłuższego czasu nic nie pisze, oraz łączę pozdrowienia dla „Bławatka“ — „Pazia“ — „Wróżki Słońca“ i Wandy Kędziorówny z prośbą, aby ta ostatnia skreśliła do mnie kilka słów“.

ALEŻ NATURALNIE!

„Dumka“ i „Mary“. „Czy będzie w „Krainie“, choć maleńki kącik dla mieszkanek lasu“? — pytacie, Drogie Dziewczynki. Ależ, naturalnie Od dzisiaj należycie już do naszego licznego grona i możecie do mnie w każdej samotnej chwili napisać i poradzić się w wszelkich wątpliwościach. Bardzo proszę.

Treść Waszego miłego liściku zamieszczam na łamach „Krainy“: „Do przedobrych serduszek Sympatyków „Krainy“ pukają dwie siostry, leśniczanki prosząc o pamięć: „Dumka“ i „Mary“. „Dumka“ to takie „coś“ nieokreślone, uszczypliwe i dokuczliwe, to znowu bardzo wesołe i rozmarzone, kochające Ukrainę i jej dzikie stepy. „Mary“ zaś to sobowtór Joan Harlow.

Jeżeli odzew nasz nie minie bez echa, będziemy zachwycone“!

„PAMIĘTAJCIE“!

„Blondynek w mundurze“. „Korespondencja to najlepszy sposób na nudy“ — pisze Pan w liście. Słusznie! To też najlepiej robią ci, którzy popierają te szlachetną i pożyteczną rozrywkę.

Z jak największem zainteresowaniem przeczytałam ostatni list Pana, a zwłaszcza wiadomości o szarych mundurkach i wielkich manewrach na Pomorzu.

Załączone wiersze oddałam Wujkowi Januszowi, który wyda o nich ocenę w następnym numerze.

Słowa dotyczące Sympatyczek „Krainy“ — przedrukowuję:

„Hallo! „Pensjonareczko“! Dziękuję Ci ślicznie za pozdrowienia i w pełni je odwzajemniam „Złota Niteczko“ — „Nimfo“ i „Sztubaczko z Bydgoszczy“, przyjmijcie braterskie pozdrowienia i napiszcie parę słów do mnie. Pamiętajcie o tem, że nigdy żadnego listu nie zostawiam bez odpowiedzi“!

DZIĘKUJEMY ZA PACZKĘ!

„Dziewczę z krainy burz“. Żałuję, że Pani nie widziała rozpromienionych twarzy współpracowników naszej redakcji, po otrzymaniu przesyłki od Pani, zawierającej smaczne owoce, czekoladki, babkę, ba, nawet ser swojskiej roboty. Serdeczność i pamięć zawsze ujmują, wzruszają i cieszą. To też i pamięć Pani była dla nas nietylko dowodem życzliwości, ale i bodźcem do bardziej wydatnej pracy dla innych.

Dziękując Pani w imieniu całej redakcji i swojem za dowody życzliwości i zainteresowania, a przedewszystkiem za urozmaiconą zawartość przesyłki ślemy Kochanej Pani serdeczne pozdrowienia i wyrazy sympatji.

Załączone fotografje pozostaną dla nas na zawsze miłą i drogą pamiątką.

W ODPOWIEDZI NA MIŁY LIST

„Marysieńka“. Kochanie! Sprawiłaś na mnie bardzo miłe wrażenie, przysyłając mi długi liścik, utrzymany w prostym i serdecznym tonie. W odpowiedzi na niego przesyłam Ci siostrzany uścisk dłoni i wyrazy mej prawdziwej życzliwości. Będę cieszyła się zawsze, ilekroć obdarzysz mnie podobnie szczeremi słowami i zaufaniem.

Prośbę Twoją, „Marysieńko“, spełniam bardzo chętnie i apeluję do Przyjaciół „Krainy“, aby zechcieli z Tobą nawiązać korespondencję. Dla zachęty nadmieniam, że na każdy list dasz szybką odpowiedź, zapewnie interesującą i wesołą, skoro posiadasz radosne usposobienie i duży zasób dodatnich zalet.

Żegnam i czekam na nowe wiadomości!

NAPISZ WIĘCEJ!

„Leniuszek“. Oj! „Leniuszku“! Nawet w pierwszym liście do mnie, okazałeś się leniuszkiem, przesyłając mi tylko parę skąpych słów. Popraw się więc co prędzej i napisz więcej!

Słowa Twoje przedrukowuję niżej: „Kochana p. Zosiu! Jestem wzrostu średniego, szatynką z usposobienia wesołą. Lubię towarzystwo pełne humoru i przepadam za jazdą rowerem, saneczkowaniem i łyżwiarstwem. Może kto z grona „Rodzinki“ skreśli do mnie kilka słów? Zasyłam pozdrowienia dla: „Rysi“ — „Małego Trzpiota“ — „Wesołej Dziuni“ — „Śpiewającego Błazna“ — „Ben — Alego“ i „Nygusa“.

Teczka Wujka Janusza

WIERSZYK DOBRY, ALE ZA SMUTNY

„Żądło“. „Pomimo, że na dworze pochmurno, mnie w duszy bardzo wesoło“... pisze Pani w swym sympatycznym liście. Słowa Pani rozumiem zupełnie i to po przeczytaniu ostatniego listu Pani, z którego tchnie pogoda, ufność i podziw dla przyrody jesiennej. Człowiek, który choć odrobinę posiada serca, zawsze będzie umiał sobie pożytecznie życie wypełnić i będzie widział w niem nietylko smutne i ciemne strony. A Pani, jak zdążyłem zauważyć jest bardzo uczuciowa i serca posiada również bardzo dużo.

Wierszyk Pani dobry, jednakże znowu ogromnie smutny. Będzie wydrukowany w „Pałuczaninie“, gazecie wydawanej przez nas na Żnin i okolicę.

Przesyłam Pani wiele serdeczności i proszę gorąco o dalszą pamięć, a przedewszystkiem o podobnie długie i sympatyczne listy, jak był ostatni.

JESIENNE REFLEKSJE

Na rżyskach tysiączne ognie w niebo swe dymy ślą,
I dziwną jakąś tęsknotą zszarzałe rżyska drżą...
Hej! może im się marzą szumiące złotem kłosy
I żal im może pieszczot wysmukłej, srebrnej kosy...
I żal im może chabrów i krwawych maków wiechy
I strachu, który wśród letnich burz schodzi pod strzechy,
I żal im może skowronka, co dzwonił nad ranem,
Kiedy na smug kwitnący o rosie krówki gnano.
— — — — — — — — — — — —
Żal, bo szara jesień dziś znaczy swój każdy krok,
Bo coraz częściej rosi i wcześniej zapada zmrok.
Opadłe liście wichura wciąż goni i wije,
Liście klonu i brzozy — a dziś — jakby niczyje...
Wiatr je roztrąci, rozwieje podmuchem szolonym,
Rozniesie je swoją siłą na wszystkie świata strony...
Zostaną szare gałęzie rozszumione rzewnie,
Za wiosną i kwiatami, za jasnem słońcem pewnie...
— — — — — — — — — — — —
Wieczorem w kominie wiatr roznieca iskry tlące,
Które rubinem się palą, jak listki lecące...
Siedzę samotna... Welon mnie dymu wkrąg owija,
I jest mi tak smutno, bom jak te listki — niczyja.

K. Purolówna.

UWAGA SYMPATYCY „BIAŁEJ UAJALI“!

„Biała Uajali“. Witam Panią jak najserdeczniej po dość długiej przerwie w korespondencji. Cieszę się bardzo, że Pani znowu do mnie napisała, równocześnie nadsyłając kilka wierszyków i nowelkę. Wierszyki pójdą do druku te, które posiadają dobry rytm. Nieumieszczenie niektórych utworów może Pani sobie wytłumaczyć zawsze brakiem rytmu. Nowelkę przeznaczyłem na zagładę. Słaba!

A teraz spełniając życzenie Pani, oddaję część listu, w której się zwraca Pani do swoich Sympatyków, do druku:

„Drodzy moi Sympatycy! Pragnę Wam dzisiaj podziękować za szczere zainteresowanie się mojemi wierszami, które są serdecznemi tonami mej duszy, zgaszonej przez życie i bardzo smutnej. Chętnie przesłałabym Wam wszystkim, którzy pamiętają o „Białej Uajali“, osobiście liściki, jednakże z wielu powodów jest to niemożliwe, więc chociaż przez ręce Wujka Janusza, chce Wam dać dowód mej wdzięczności i zapewnienie, że każda Wasza najmniejsza wzmianka czy pamięć, jest mi bardzo droga i wynagradza nałożoną przez los niedolę życia.

Gdyby jednak kto z Pań lub Panów chciał mnie poznać bliżej, niech pierwszy napisze, a ja mu z całą satysfakcją odpowiem obszernie na list.

Dzisiaj zasyłam również moc pozdrowień i uścisków dla drogiej mi „Jeanette“, bardzo smutnej „Słodkiej Psyche“, mej imienniczki „Blanki“ — „Turkusika“ — „Boginki“ — „Takiego małego coś z loczkami“ — „Żeni — niewolnicy smutku“ — P. Maryli W., „Wesołej Wandulki“ — „Cyganki z gondoli złudy“ — „Dusi“ i „Maleńkiej Tajemnicy“. Proszę także „Słodką Psychę“ — „Ofiarę losu“ i „Arlaune“, by się zdobyły na odwagę i pierwsze do mnie napisały. Dla „Księżniczki Dari“ ślę osobne pozdrowienia i uściski. Wiele serdeczności przesyłam „Ord — Omowi“ — „Irkowi“ gorące podziękowanie za wierszyk. Nadmieniam również, że czekam na odpowiedź od „Hrabiego Monte Christo“, zaś „Orłowi Śląskiemu“ — „Te — Emowi“ — „Anguisowi“ — „Tropidonotusowi“ i Romkowi B. zasyłam moc siostrzanych uścisków i proszę ich o liściki, ale... z adresami. Dla reszty Sympatyków „Krainy“ ślę śliczne pa!“

BRAK RYTMU

„Lusia“. Pomimo szczerych chęci, wierszy Pani zamieścić nie mogę. Obydwa posiadają bardzo piękne myśli, lecz brak im rytmu, który jest tak ważny w wierszu, jak w pieśni pełna harmonji melodja. Za przesłane mi pozdrowienia dziękuję uprzejmie i ślę ich Pani również moc.

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 591

„Za trzy dni“, wołała za nim wróżka, „pamiętaj pan, panie hrabio, — za trzy dni nie będzie hrabiny Zamskiej, bo ze wstrętem odepchniesz ją od siebie!“

Kazimierz nie słyszał może tych słów, bo już był na korytarzu. Ale zaledwie kilka kroków uszedł, uczuł na ręce dotknięcie, — postać jakaś zatrzymała go, szepcąc mu do ucha głosem, który nie obcym się być wydawał:

„Panie hrabio, zaklinam pana, nie wierz tym podłym oszczerstwom i potwarzom, które przed chwilą na pańską małżonkę rzucono. Oszukano pana haniebnie, — pan hrabia jesteś ofiarą nikczemnego kuglarstwa.“

Kazimierz stał jak odurzony, — o ile rozpoznać było można w ciemnym korytarzu, była to wysoka, smukła dama, której głos jednak był męski. Sądził napewne, że rozmowy jego z panią Gautier nikt nie słyszał, tymczasem osoba ta widocznie była świadkiem wszystkiego, co zaszło.

Niepokój ogarnął go, — chciał się jak najprędzej wyrwać z tego strasznego domu, — ale ręka, co go żelaznym uściskiem trzymała, nie puszczała go.

„Zatrzymaj się pan, panie hrabio, chwileczkę jeszcze tylko“, szeptał ten sam głos, „nie zdradź się przed nikim z tego wszystkiego.

„Pokazywała panu przed chwilą obraz dziewczyny, którą widziałeś przedtem w trumnie? Czy jako inteligentny i wykształcony człowiek może pan, zastanowiwszy się przypuścić, że ta oszustka jest w stanie przywołać do życia martwą Anielcię Dubois?!

„Nie, — to, co pan widział, co pan w rozdrażnieniu najwyższem uważał bez rozmysłu za prawdę, było tylko czczą marą, złudzeniem optycznem. Ta kobieta musi mieć powód jakiś, dla którego nienawidzi pańskiej małżonki, — wtej chwili nie znam tego powodu, ale postaram się, że wyjdzie na jaw, bo dziś jeszcze aresztuję ją.“

„Co — pani, chcesz aresztować wróżkę?“

„Nie jestem kobietą, — jestem przebrany, — nie poznaje mię pan hrabia, proszę mi się bliżej przypatrzeć.“

I przebrana kobieta nachyliła się całkiem do Kazimierza, przeszywając go swym przenikliwym wzrokiem.

„Kto to taki?“ rzekł Kazimierz, „te oczy — nie poznaję — a jednak — — a, teraz poznaję, — czy nie —“

„Detektyw Lister!“ dodała postać przebrana. „A teraz chyba zrozumie pan, dlaczego tu jestem i poco to przebranie? Jestem tu na polecenie prefekta policji, bo tak jak pana oszukuje, tak i przed panem mnóstwo osób z najwyższych sfer wywiodła w pole. Cel ostateczny jej sprawek jest, by jak najwięcej pieniędzy wyłudzić, — i jestem jak najmocniej przekonany, że ta nikczemna osoba za trzy dni postawiłaby panu alternatywę: albo zapłacisz mi pan tyle a tyle tysięcy franków, albo przez pozornie udowodnione oszczerstwo okryje niesławą imię twojej małżonki przed światem.“

„Tak, masz pan słuszność, panie Listerze! — O, ci podli! — Ochraniaj pan moją biedną żonę przed tem wielkiem niebezpieczeństwem i przed tymi niebezpiecznymi ludźmi!“

„Bądź pan zupełnie spokojny“, odparł Lister, „tę podstępną kobietę zrobię nieszkodliwą. Teraz jednak oddal się, panie hrabio, — i pozostaw mię samego na polu działania. Za godzinę zamkną się zamki i rygle za słynną wróżbiarką madame Gautier; w kieszeni noszę już rozkaz zaaresztowania.“

Detektyw uścisnął jeszcze raz rękę Kazimierza, towarzysząc mu aż do końca ciemnego korytarza, poczem sam udał się do gabinetu, oznaczonego cyfrą 7, w którym już poprzednio czekał.

Słyszał wyraźnie, jak kroki Kazimierza cichły na schodach, pokrytych dywanami i tryumfujący uśmiech zaigrał na jego wargach, które szeptały równocześnie:

„Gwałtowna burza zbiera się nad głową Loli, sądzę jednak, że potrafię ją odwrócić. Lecz, — ta Gautier jest nadzwyczaj niebezpieczną osobą, jestem więc zmuszony użyć całej mojej energji, by ochronić Lolę przed tą kobietą.

„Tak, muszę ją obronić, gdyż dziwne uczucie pociąga mię ku niej. Sam nie wiem, co to jest, że w jej sąsiedztwie doznaję takiego wrażenia. — To będzie zmysłowy pociąg, — pragnę, by ta piękna hrabina została moją kochanką, bym ją mógł pieścić w moich objęciach. Lecz nie, nie, — to nie jest zwykła igraszka zmysłów, to jest inne uczucie, inny jakiś pociąg, którego nie mogę sobie wytłumaczyć.“

Edwin Lister położył się na kanapie, stojącej w rogu małego gabinetu, i przymknął na chwilę oczy. Nagle, — usłyszał szelest tuż koło siebie, — otworzył oczy, — i zobaczył rudą wróżbiarkę, stojącą obok niego.

LXXXVIII.

Czerwona peruka.

Lister, patrząc na wróżbiarkę, nie osłoniętą półcieniem jej pokoju, lecz przeciwnie oblaną promieniami zachodzącego słońca, które wdzierały się przez na pół zasłonięte okna, był prawie pewien, że już gdzieś raz w swojem życiu widział tę twarz. Obecnie jednak nie miał czasu do namysłu, gdyż piękna czerwonowłosa kobieta mierzyła go długiem, podejrzliwem spojrzeniem, mówiąc:

„Wprawdzie zezwoliłam, byś pani czekała tutaj na mnie i obiecałam udzielić pani powtórnego posłuchania, niestety, obecnie jestem zmuszona cofnąć moją obietnicę“.

„Co za szkoda“! zawołał detektyw zmienionym głosem, podnosząc się szybko, „lecz nie byłabyś pani łaskawą, wyjawić mi powody, które ją skłoniły do tego?“

„Nie, — nie mogę!“

„To jest obrazą dla mnie, pani!“ mówił Edwin Lister, „pojmuję jednak, — zapomniałem bowiem zapłacić za trudy pani, co prawdopodobnie stało się powodem jej nieufności. W tej chwili uiszczę mój dług“.

Włożył rękę do kieszeni i wyciągnął wypełnioną portmonetkę, lecz nim zdołał ją otworzyć, zawołała madame Gautier gwałtownie:

„Proszę, daj pani spokój, — nie wezmę od pana ani szeląga. Tylko oddal się pani!“

„A gdybym został wbrew woli pani?“

„To postaram się, by wydalono pana z mego domu“.

Piękna czerwonowłosa kobieta przybrała taką postać przy tych słowach, że Lister nie mógł wątpić, że w danym wypadku jest gotową użyć przemocy.

Lister był jednak zupełnie gotowy na wywołanie katastrofy, ponieważ w rzeczywistości pragnął przyaresztować madame Gautier.

„Więc pani nie chcesz użyczyć mi posłuchania“, mówił, stając tak, że wróżbiarka nie mogła mu uciec przez drzwi ukryte w tapetach.

„Już raz oświadczyłam to pani i po raz ostatni proszę opuścić mój dom“.

„A ja na to odpowiem, że zostanę tutaj i zmuszę panią do rozmowy, w ciągu której będę stawiać pytania, a pani będziesz odpowiadać“.

„Co to ma znaczyć!“ zawołała pani Gautier, cofając się wstecz o krok, „zdaje mi się, że pani nie jesteś tem, czem się wydajesz“.

„Masz pani słuszność“, odparł detektyw, „i dziwię się mocno, że bystrość pani nie odkryła tego już wcześniej. Gdzież była prorocza wiedza pani, — stosunek z tajemniczemi potęgami, które odkrywają wszystko przed panią? — Dlaczego nie odgadłaś pani odrazu, że nie jestem kobietą, lecz mężczyzną? Moje nazwisko Edwin Lister, detektyw, — aresztuję panią w imieniu prawa!“

Ajent, wymawiając te słowa, zerwał czarną perukę z głowy i jednem poruszeniem ręki odrzucił od siebie kobiecą suknię. I stojąc w swojem męskiem ubraniu, spoglądał tryumfująco na wróżbiarkę.

Pani Gautier wydała nieludzki okrzyk ze siebie, cofnęła się gwałtownie i wyciągnęła obie ręce, jakby pragnęła się bronić, — a z jej ust spłynęło nazwisko nie Edwina Listera, lecz zupełnie inne, — nazwisko, które przejęło zgrozą detektywa, który nagle dowiedział się, kim jest ta kobieta, i gdzie ją już raz widział.

„Satanelli!“ zawołała strasznym głosem pani Gautier, — poczem zatoczyła się nagle i bez zmysłów padła na ziemię.

Ostatnim wysiłkiem woli zanurzyła ręce w swoich czerwonych włosach, — i w kurczowych drganiach wstrząsających jej ciałem, — zerwała je z głowy, — okazując czarne lśniące sploty.

Lister zachwiał się, upadł na kolana i pochylił się nad nią, by utopić w jej twarzy długie wejrzenie odźwierciadlające bezmiar boleści i przerażenia.

„Arabella!“ szeptał słodkim tonem, „Arabella, — kochanko, — moja najdroż-

Nie przeczuwasz nawet kobieto, — kim jestem, — i kto stoi przed tobą!"

„Wiem", wymówiła Arabella, „jesteś słynnym detektywem pod nazwiskiem Listera."

„O, gdyby tylko to było! Jednak masz słuszność. Lister, znany ajent, to ja. Widząc kim jestem, musisz jednak domyślać się, że znajdujesz się w moich rękach i że w każdej chwili mogę cię zaaresztować. Wtargnąłem do twego domu, wyznaję zupełnie otwarcie — tylko celem uwięzienia ciebie. Prefekt paryskiej policji dał mi takie polecenie. Chcesz może zobaczyć to pismo? Mam je w mojej kieszeni. Oto rozkaz aresztowania pani Gautier, paryskiej wróżbiarki."

Arabella zatoczyła się i upadła na kanapę.

„Wiesz, co się stanie z tobą", ciągnął Satanelli podniesionym głosem, przeszywając ostrem spojrzeniem ciężko oddychającą kobietę, „czy wiesz, coby się stało, gdybym spełnił mój rozkaz? Osadzonoby cię we więzieniu, i wytoczono proces. Francja, jak ci to wiadomo, posiada odległe wyspy, gdzie skazuje się na życie pełne cierpień i twardej pracy takie jednostki, które stały się wrogami ludzkiego społeczeństwa.

„Tylko powolna, lecz nie mniej pewna śmierć, uwalnia je z tej krainy łez, upokorzenia i bólów. — Arabello, powiedz otwarcie, nie masz ochoty zakończyć twego życia w Nowej Kaledonji?"

Arabella w rozpaczy zakryła twarz rękoma, opuściwszy głowę na piersi.

„Wątpię, czy będziesz mieć ochotę", mówił dalej Lister odzyskując powoli znowu zimną krew, „ponieważ zanadto jesteś przyzwyczajoną do wygód, dostatków i bogactwa. Ubierasz się chętnie w szeleszczący jedwab i na każdym kroku okazujesz kaprysy i zachcianki.

„Nowa Kaledonja wyleczy cię jednak z tego. Bądź pewną, piękna Arabello, że nie minie cię wyspa zbrodniarzy, jeżeli nie odpowiesz prawdziwie na moje pytania. Widzisz, już wzdrygasz się i tryumfujesz. Błyski jaśnieją w twoich oczach, zapewne myślisz sobie teraz, niech pyta, odpowiem wprawdzie, lecz tak jak będę uważać za stosowne. Nie łudź się, Listera nie oszukasz. Nim zacznę moje badanie, muszę najpierw wiedzieć, co się stało z naszem dzieckiem, gdzie znajduje się obecnie nasze dziecko. Mam rzeczywiście przypomnieć ci tę małą historję?

„Może poruszę twoje serce, może wzdrygniesz się, a może zbudzę w twojej duszy dawno zamarłe uczucie, uczucie miłości macierzyńskiej?!"

Lister usiadł na kanapie obok wróżki, unikając najmniejszego dotknięcia z Arabellą. Jego twarz przybrała na chwilę wyraz zamyślenia, wzrok jego wbił się w podłogę, poczem przemówił cichym głosem:

LXXXIX.

Przed dwudziestu laty

„W Weronie żył niegdyś stary muzyk", — temi słowy zaczął Lister swoje opowiadanie, — „posiadający tylko dwa skarby na tej ziemi, jako swoją



Zdjęcie nasze przedstawia obóz włoski w Erytrei.

sza, — niewierna kobieto, — matko mojego dziecięcia!"

Ostry i rozkazujący głos detektywa zmienił się nie do poznania, tak mile brzmiał obecnie. I twarz jego przybrała zupełnie inny wyraz, pokrywając się zmarszczkami i fałdami. Zniknęły z niej rysy stanowczości, — odbijając tylko bolesną żałość, pełną bólu i gorzkich wspomnień. Postawa ajenta straciła nagle całą swoją okazałość, i zdawało się, że Lister postarzał się nagle przynajmniej o dwadzieścia lat.

„To ona!" szeptał detektyw drżącemi wargami, „tak, to Arabella! — Boże, gdzie miałem moje oczy, że nie poznałem jej natychmiast, — a jej głos, mimo to nie wpadłem na tę myśl, że wydał mi się tak znajomym. I to ona — Arabella.

„Tyle lat już przeszło od tej chwili, gdy po raz ostatni patrzyłem w jej oblicze, — siedmnaście lat minęło, w ciągu których szukałem jej, tak jak się szuka kobiety, bez której nie ma się sił, ani ochoty do życia. Szukałem jej, jak potępieniec, który pragnie odnaleźć utracony Eden. Lecz wszystko było naprożno. Lata całe błąkałem się po świecie, szukając śladów mojej ukochanej i mojego dziecka, — wreszcie stałem się tem, czem jestem obecnie, rzuciwszy się w wir życia, — Markiz Satanelli został przestępcą, przybierając maskę Listera, detektywa! — Ona tylko była tego przyczyną! — Wreszcie znalazłem ją w roli wróżbiarki, oszustki, którą chciałem właśnie zaaresztować.

„Co się stało z mojem dzieckiem, — muszę to wiedzieć, — ona musi wyjawić mi całą prawdę! — Arabello, teraz porachujemy się za cały szereg lat nędzy i wiarołomstwa! — Zbudź się, słyszysz, — godzina obrachunku nadeszła!"

Równocześnie wbijał swoje paznokcie w jej ciało i potrząsał nią, — Arabella leżała jednak blada i bez ruchu — jak trup.

Ujął ją w swoje ramiona, podniósł i złożył na sofie, czekając cierpliwie, dopóki nie otworzy sama oczu.

Nagłem poruszeniem, pełnem przerażenia, wyprostowała się wróżbiarka.

Wyciągnęła przed siebie drżące ręce, kierując swój błędny wzrok na Listera, który stał przed nią, blady, bez ruchu, ze skrzyżowanemi na piersi rękoma.

„Więc to ty jesteś!" przemówiła kobieta, „lecz nie, — ty nie możesz być. — Umarli nie wstają z grobu. — A jednak, — to są twoje rysy, — poznaję cię, — stoisz tak samo przedemną, jak wówczas w nocy, — nie, nie, nie mogę myśleć o tem, — oszaleję, — to wszystko jest tylko strasznym snem, który igra ze mną."

„O nie, Arabello", mówiły usta Listera, który w rzeczywistości nazywał się Satanellim, „to nie sen, lecz tylko dziwny przypadek łączący nas znowu w tej bezlitosnej pielgrzymce życia. Jesteś moją żoną, a ja twoim mężem! Rozchodzi się obecnie o jedną kwestję:

„Arabello, co się stało z naszem dzieckiem?"

„Z naszem dzieckiem?" — wydusiła ze siebie Arabella, przyciskając swe ręce do falującego łona. — „Umarło — — nasze biedne dziecię nie żyje!"

Kłamiesz, — czytam to w twoich skurczonych rysach! Nie, nie wierzę, to dziecko żyje!" — zawołał Lister ochrypłym głosem, ujmując Arabellę za ręce i przyciągając ją ku sobie — „kobieto, nie oduczyłaś się jeszcze kłamstwa, żyjesz ciągle w atmosferze fałszu, wdychając go z każdym oddechem? O, siedmnaście lat przeszło od chwili, gdy cię straciłem z oczu, siedmnaście lat zmienia każdego człowieka, ty jednak pozostałaś tą samą!"

Arabella nie była w stanie dać mu odpowiedzi — na pół żywa zawisła w jego objęciach.

„Tak, nie zmieniłaś się", ciągnął Satanelli, „lecz ja zostałem innym. Prawda, wówczas przed siedmnastu laty podobałbym się ci może w takim stanie. Byłem wtedy pełen wiary i ufności, jak dziecko, które nie znało podejrzeń, jak ufające serce, jak człowiek, który kochał i w postaci swojej uwielbianej widział tylko samą świętość i wzniosłość. Ty jednak zdarłaś łuskę z moich oczu, Arabello, ty zbudziłaś mię z tego słodkiego snu i teraz, patrz, jestem innym!

własność: młodego syna Edwarda i pożółkłe ze starości rękopisy, które ukrywał zazdrośnie przed ciekawemi oczyma świata. Starzec strzegł oboje z nadzwyczajną starannością i opieką. Rękopisy leżały w skrzyni, od której klucze nosił zawsze przy sobie, nie rozstając się nawet we śnie z nimi. Czuwał nad swoim synem, — bojąc się, by słodka trucizna nie zepsuła przedwcześnie duszy młodego Edwarda. Dlatego uważał na każdy jego krok.

„Nigdy nie istniał piękniejszy stosunek między ojcem a synem, jak ten, który wiązał starego muzyka Satanelli z jego synem Edwardem. Ojciec i syn odczuwali nietylko przywiązanie, lecz byli raczej przyjaciółmi, którzy nie ukrywają nic przed sobą. Całe dnie spędzali razem. Obaj dzielili tę samą namiętność, miłość i cześć, nie dla kobiety, broń Boże, która nigdy nie przekroczyła progu domu muzyka, lecz obaj, ojciec i syn, kochali i uwielbiali całem sercem muzykę i pieśń.

„Stary Satanelli był nietylko muzykiem, lecz także znanym kompozytorem, który stworzył śliczne dzieła. Nie wydawał ich jednak za swego życia, lecz przeciwnie zbierał je skrzętnie, pragnąc zostawić je Edwardowi jako spadek, a nawet czasami, życzył sobie, by dzieła jego nosiły nazwisko syna a nie ojca. Edward jednak w szlachetnem oburzeniu nie chciał nic słyszeć o tym projekcie.

„Mój synu", mówił zwykle stary Satanelli, opuszczając swoją siwą głowę na piersi i spoglądając czule na swego potomka, jam już stary, blizki grobu, nie pragnę wcale sławy, którąby mnie obdarzyli może ludzie. Nie pożądam także pieniędzy. Przez całe moje życie żyłem skromnie i ubogo. Dlaczego teraz, u kresu ziemskiej pielgrzymki, miałbyć stać się nagle żądnym sławy i uznania? Dlaczego, jak żyd lub handlarz, mam wystawiać na publiczną sprzedaż to, co czułem zawsze w głębi piersi, co upajało moją duszę, — ten dar, którym mię obdarzyła Muza w szczęśliwej godzinie?

„Nie, mój synu!" kończył Satanelli, moje manuskrypty nuty i kompozycje pozostaną ukryte, dopóki śmierć nie zamknie moich oczu na zawsze. Wtedy zdejmiesz z mojej piersi klucz, którym otworzysz zamek skrzyni, i wtedy powinieneś wydać moje kompozycje, by osięgnąć cześć, sławę i pieniądze! — Bądź pewien, mój synu, że osięgniesz to wszystko. Czuję, że stworzyłem arcydzieła. Każdy ton pójdzie na wagę złota, a nazwisko Satanelli odbije się o całe Włochy, rozlegając tylko hen po za granice naszej ojczyzny. I wszędzie, gdzie tylko je poznają, pochylą się czoła pełne uwielbienia i pochwał!"

„Tak mówił stary Satanelli, a Edward pochylał się i całował z czułością ręce ukochanego ojca, spoglądając z niedającem się opisać uwielbieniem, na szlachetną postać starca".

Dziwne, mężczyzna, którego świat znał jako Listera, pod wrażeniem wspomnień opuścił smutnie oczy. Ten wzrok zwykle ostry i przeszywający, był obecnie zamglony smutkiem, pełen łez, które zgasiły wszystkie jego błyski.



W Rzymie odbył się ślub trzeciego syna b. króla hiszpańskiego Alfonsa, księcia Juana de Bourbon z księżną Marją Orleańską. Na zdjęciu widzimy młodą parę w otoczeniu gości weselnych

„Starzec w rozmowie ze swoim synem wyznał prawdę, mówiąc, że całe jego życie było obarczone nędzą. Mały domek na południowym końcu Werony stanowił cały jego majątek, który później drogą spadku przeszedł na młodego Edwarda. Stare domy nie posiadają niestety tej własności, co wino, które z biegiem czasu zyskuje na wartości; a że z budynkami jest wręcz przeciwnie, więc nie dziwota, że dom Satanellego chylił się coraz bardziej do upadku. Mury były pełne rysów, wiatr powyrywał dziury w dachu, które napróżno łatano deskami.

„Ojciec i syn mogli wprawdzie prowadzić lepsze życie i bez wydawania kompozycji, gdyby stary Satanelli chciał dawać lekcje zwłaszcza, że był świetnym skrzypkiem, godnym współzawodnictwa Paganiniego. Gdyby raz tylko wystąpił z koncertem, napewno kieszenie jego wypełniłyby się złotem i w domu Satanellego nie gościłaby więcej nędza.

„Jednak ani syn, ani ojciec nie uczynili tego.

„Najdroższy", mawiał często stary Satanelli, obejmując młodego Edwarda, „ty jesteś moim jedynym uczniem, i pozostaniesz nim nazawsze!"

„Obaj żyli jak pustelnicy, tak że Edward w 21 roku nie wiedział właściwie co to jest życie, które leżało przed nim, jak czarodziejska księga o siedmiu pieczęciach. I nie doznawał nawet ochoty, by przełamać te pieczęcie i otworzyć książkę.

„Nie wiedział, że tam na świecie istnieje wiosna, i miłość, uśmiech i wdzięk pięknych kobiet, radość, wesołość, dźwięk puharów i oszałamiająca pieśń, — tak, nie wiedział nic o tych rzeczach i dlatego nie tęsknił za niemi.

„A przy tem spoglądały na niego wszystkie dziewczęta Werony, skoro się tylko pokazał na ulicy. Długie, czarne sploty włosów spadały na jego ramiona, a wyraziste niebieskie oczy odbiły całą szlachetność jego duszy. Wysokiego wzrostu, pięknej postawy, mimo skromnych ubrań, robił przecież wrażenie wielkiego pana.

„Jednego dnia dowiedział się jednak Edward, że w życiu młodzieńca istnieje jeszcze coś piękniejszego, aniżeli gra na skrzypcach, lub pisanie nut.

„Domek Satanellich leżał nad Eczerą, która dumne swe fale toczy przez Weronę. Obaj muzycy mieli co prawda dużo kłopotów z tego powodu, gdyż woda Eczery wciekała powoli do piwnicy, podmywając fundamenta domu, jednak z drugiej strony bliskość rzeki miała także swoje zalety.

„Letnimi wieczorami jeździli łodziami na rzece młodzi Werończycy ze znajomemi dziewczętami i wesoły śpiew mieszał się ze szmerem fal.

„Jednego dnia, stało się coś nadzwyczajnego. Stary Satanelli przechadzał się nad brzegiem Eczery, spoglądając na liczne czółna rybackie.

„Nagle przystanął stary muzyk, twarz jego rozjaśniła się, oczy zabłysły, słyszał, jak w dali, za rzeką rozległ się głos niewieści, jasny i czysty jak dźwięk dzwonów.

„Była to rybaczka, której starzec dał ręką znak, by przybiła do brzegu. Zdziwiona usłuchała jego rozkazu, nie wiedząc, co zażąda od niej ów siwowłosy starzec.

„Sędziwy artysta ujął nadobną śpiewaczkę w swoje ramiona, zaklinając ją, by porzuciła rybactwo i starała się zostać sławą teatralną, lub gwiazdą sal koncertowych.

„Rybaczka nie mogła oprzeć się namowom starego muzyka i udała się z nim do samotnego domu, w którym dotychczas mieszkał tylko Satanelli ze swo im synem.

„Edward zdziwił się bardzo, zobaczywszy swojego ojca w towarzystwie młodej rybaczki. Młodzieniec doznał miłego wrażenia na widok tego pięknego, zaledwie szesnastoletniego dziewczęcia, które mu podało na przywitanie swoją rękę. Spoglądał na to piękne dziecię rybaków, jak na jakiś cud świata, nie mogąc oderwać spojrzenia od tej twarzy, z której spoglądała na niego para dużych, sennych, godnych Madonny, o-

czu. Zwoje kruczych włosów zdobiły opalone, szlachetne jej rysy, tak, że każdy byłby powiedział, że to nie prosta rybaczka, lecz dziewczę z wysokiego rodu.

„W cichym domku, w którym od całego szeregu lat nie postała noga kobiety, gospodarowała obecnie dawna rybaczka, imieniem Arabella. Porządek zawitał w starym budynku, a ojciec i syn cieszyli się, że Arabella zajmowała się nietylko gospodarstwem lecz oddawała się także gorliwie studjom śpiewu. Staremu muzykowi biło zawsze serce z radości, gdy patrzał na tę utalentowaną dziewczynę.

„Postanowił wykształcić Arabellę na wielką artystkę, któraby kiedyś zachwycała cały świat swoim śpiewem. Rybaczka miała stać się nową gwiazdą na polu muzyki.

„Dziwne, gdy młody Edward akompanjował na skrzypcach pieśniom Arabelli, wtedy głos jej brzmiał piękniej i silniej, aniżeli przy akompanjamencie starego Satanellego.

„Edward odczuwał to i głos pięknej dziewczyny odbijał się w jego sercu, wywołując nieznane uczucia w głębi piersi.

„Miłość, namiętny ogień pierwszego uczucia, zapłonął z czasem w sercu młodzieńca, który zawsze dotychczas za radą ojca trzymał się zdala od kobiet.

„Wkrótce ogniste pocałunki spoczęły na wargach Arabelli, która oddawała je z równą namiętnością.

„Nieuniknionа rzecz nadeszła. Stary Satanelli dowiedział się o tej tajemnicy i postanowił oddalić ze swego domu Arabellę. Wprawdzie pragnął ukończyć jej studja, lecz syn jego nie powinien widzieć więcej pięknej rybaczki.

„Kochankowie poznawszy zamiar starego muzyka, postanowili uprzedzić jego plany. Miłość zanadto spoiła ich serca, młodzieniec był już oddawna oczarowany pieszczotami rybaczki, a namiętne ich uczucia doszły już do tego stopnia, że Arabella patrzyła z troską w przyszłość.

„Dziewczyna wywierała gwałtowny, prawie demoniczny wpływ na niedoświadczonego młodzieńca. Pewna tego, zaklinała go, by razem z nią opuścił ojca, pozostawiając go samego.

„Lecz skąd wziąć środki do życia?" — zapytał Edward.

„Arabella wskazała ręką na skrzynię, gdzie ojciec Satanellego przechowywał kosztowne nuty, które dopiero po jego śmierci miały być wydane.

„Tutaj są skarby" — szeptała wówczas Arabella niedoświadczonemu Edwardowi, — „skarby, które nie tylko uchronią nas przed nędzą, lecz zapewnią nam nawet świetne życie".

„Z oburzeniem odrzucił młodzieniec myśl okradzenia własnego ojca. Piękna kobieta rozproszyła jednak wkrótce wszystkie jego skrupuły.

„Zakradła się do pokoju, w którym spał starzec i śpiącemu zabrała z piersi klucz, którego strzegł zawsze, jak oka w głowie.

„Arabella otworzyła następnie starą skrzynię i wypróżniła ją zupełnie. Oboje, Arabella i Edward, zabrawszy kosztowne nuty, które stary Satanelli cenił więcej, aniżeli drogie kamienie, uciekli z domu muzyka.

„W podejrzanem lokalu przepędzili noc, straszną noc, której cienie dręczyły sumienie młodzieńca, że ukradł najkosztowniejszą rzecz swojemu własnemu ojcu.

„Biedny starzec nie przeżyje tej zguby, to będzie przyczyną jego śmierci!" myślał wtedy z bólem Edward.

„I tak stało się rzeczywiście.

Następnego dnia przechodnie zobaczyli przez otwarte okno starego Satanellego wiszącego na sznurze, naprzeciwko wypróżnionej skrzyni.

Z rozpaczy nad fałszywym krokiem swego syna, przejęty niewdzięcznością młodej rybaczki, której szczęście chciał utrwalić, starzec pozbawił się życia.

„Dwa dni później, gdy Edward z Arabellą jechał właśnie przez bramę miejską, uwożąc skradzione skarby, zaszedł im drogę kondukt pogrzebowy.

„Powiesił się!" — mówili ludzie do siebie.

„Edward myślał, że oszaleje. Karawan jadący naprzeciw niego, zawierał zwłoki jego ojca. Strach przejął młodzieńca, nie mógł patrzeć na trumnę i rozkazał zawrócić woźnicy. Jednak skutkiem ścisku, spłoszyły się nagle konie i popędziły prosto na karawan. Trumna upadła na bruk, wieko uchyliło się i trup potoczył się bezwładnie parę kroków.

„Edward chciał uciekać, lecz szklany wzrok na pół otwartych oczu przyciągał go wprost ku sobie. Na skrzywionych, bladych wargach unosiło się jeszcze przekleństwo, dotyczące niewdzięcznego syna. Pożółkłe ręce zmarłego, skurczone w pięść, zdawały się grozić Edwardowi.

„Tłum na widok tej strasznej sceny rozbiegł się na wszystkie strony.

„Edward chciał rzucić się na trupa całować te zimne szczątki i błagać swego ojca o przebaczenie, gdy nagle pociągnęła go gwałtownie kobieca ręka, i popchnęła ku powozowi, który w tej chwili potoczył się, oddalając się coraz bardziej od miejsca wypadku.

„Arabella i Edward przybyli do Rzymu, gdzie postanowili zamieszkać. Młody Satanelli od ostatniego swego widzenia się z ojcem nie doznał ani godziny spokoju. Zasępiony, myślał ciągle, podczas gdy Arabella używała wszystkich rozkoszy wiecznego miasta, mimo, że czuła się matką!

Część nut sprzedała Arabella za wysoką cenę i prosta rybaczka za uzyskane pieniądze otoczyła się nagle wyszukanym zbytkiem.

Wprawdzie oboje połączyli się węzłem małżeńskim w jednej z cichych kaplic Rzymu, lecz przekleństwo zdało się ciążyć nad tym ślubem, gdyż do szczęścia zabrakło błogosławieństwa ojca, starego czcigodnego Satanellego.

„Arabella poczęła się wkrótce nudzić przy boku uwiedzionego przez nią młodzieńca. Szukała hołdów innych mężczyzn, którzy nie przeczuwali, że Arabella jest matką.

„Jednego dnia znikła nagle urocza kobieta, zabrawszy ze sobą najkosztowniejszą część nut, które pozostawił w spadku stary Satanelli.

„Edward w rozpaczy, spaliwszy po zostałą resztę nut, rzucił się w wir życia, byle tylko ogłuszyć własne myśli. Przyłączył się do bandy rozbójników, i często nie dużo brakowało, a byliby go ujęli karabinierzy.

Przypadkowo dowiedział się, że Arabella uciekła do Niemiec, gdzie dała życie dziewczynce. Bliższych szczegółów nie wiedział i nie mógł odszukać nawet miejsca matki i dziecka.

Jednego dnia rozbito bandę, do której należał Edward. Z trudem udało mu się uniknąć więzienia i uciec za granicę. W parę miesięcy później wylądował w Anglji, gdzie został jednym z największych włamywaczy, pod przybranem nazwiskiem.

W Ameryce prowadził Edward również swoje rzemiosło. Później dopiero został detektywem. A że jako dawny wielki przestępca znał dobrze wszystkie podstępy złodziei, więc wkrótce wsławił się tak, że nazwisko jego było ogólnie znane.

Edward udał się następnie do Paryża, gdzie wkrótce stał się postrachem przestępców, i ulubieńcem policji.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Konikówka.

uł. W. M. z Łysinina.

Bóg	czło	cie	da
ność	nie	wy	wie
cza	ży	je	a
go	włas	ko	po
wi	ży	le	na

Szarada

Gdy przejdziesz po ogrodzie
Nie dużo, nie wiele
Znajdziesz tam napewno — 1 — 2 ziele.
Pomiędzy drugie wstaw miękką literę
I połącz z trzecią — a dasz mi wiarę,
Że smaczne to pieczywo — jako żywo,
Zaś pierwsze trzecie, to rumaka dziecię.
Gdy całość połączysz składnie i rozumnie
Tego nazwę dostaniesz, co poruszył ziemię.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do soboty 2 listopada br.

Rozwiązanie zadań z nr. 40 „Moich Powieści": Bilety wizytowe: Białystok, Sandomierz, Nowogródek.

Szarada: Łódź.

Trafne rozwiązania zadań z nr. 40 i 41 nadesłali pp.: Jolanta Mądrówna — Duszno, Leon Świtalski — Żnin, Kazimiera Wicherkiewiczowa — Lipno, Leon Wilczer — Tczew, Zofja Kurdelska — Żnin, Janina Sołtysiakówna — Lubliniec, Ewald Odrozek — Radlin, Janina Charówna — Bydgoszcz, Stefanja Chrzanowska — Wąbrzeźno, Ludwik Płoński — Iwonicz, Marja Płońska — Iwonicz, Alfred Opaliński — Borek, Marjan Słowiński — Raduchów, Justyna Palkówna — Grabowo..

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Jolancie Mądrównie z Duszna, Marji Płońskiej z Iwonicza, Leonowi Wilczerowi z Tczewa i Marjanowi Słowińskiemu z Raduchowa.

H-U-M-O-R



— Te, słyszysz! w Abisynji walą się na dobre.

— To sprawka Mussoliniego, bo chciał się pozbyć bezrobocia.

Wytłumaczył

Dwaj grubaskowie spotykają się w miejscowości kuracyjnej.

— Przeklęta otyłość... — skarży się pierwszy. — Przeprowadzam kurację odtłuszczającą i nic nie pomaga...

— Niech pan nie narzeka.. — odpowiada drugi. — Otyłość ma również swe dobre strony.

— Ciekawym jakie?

— Wchodzi pan naprzykład do wanny, służący wylewa na pana pół szklanki wody, wanna wypełnia się po brzegi i kąpiel gotowa!...

Poemat.

Fredzio bawi u wujka w gościnie. Przyjmuje go się ciastkami i winem. W pewnej chwili odzywa się wujek.

— No, i co ty na to wino? Czy to nie poemat?

— Owszem, rzeczywiście poemat. Czy nie znasz dalszych zwrotek?

Wesoły nieboszczyk.

Francja obchodzi obecnie trzydziestą rocznicę śmierci znakomitego humorysty Alfonsa Allais.

W związku z tem prasa paryska przypomina następującą anegdotę:

Pewnego razu w „Echo de Paris" ukazała się przez pomyłkę notatka o śmierci pisarza.

Allais wystosował do redakcji pisma następujący list: „Czuję się doskonale, ale upoważniam Panów do napisania po mojej śmierci: „„Zgodnie z tem co podaliśmy pierwsi 25 lat temu (sądzę, że nie wcześniej) p Alfons Allais zmarł wczoraj".

Pobił ich.

— Adaś, Jurek i Felek idą do szkoły. Każdy chce się czemś pochwalić przed kolegą, więc Adaś zaczyna:

— Czy wiecie, chłopcy, że mój dziadek, umierając miał 9 lat?...

— Phi, to nic... — odpowiada Jurek. — Mój dziadek miał 102 lata, kiedy umarł...

Na to Felek:

— To wszystko guzik!... Mój dziadek wogóle jeszcze nie umarł!

Naturalnie.

W szkole nauczyciel zwraca się do ucznia:

— Co się stanie ze srebrem, jeżeli przez dłuższy czas będzie wystawione na działanie powietrza?...

— Ukradną.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8

Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.

P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin.